



Dzielny Żołnierz

DZIELNY ŻOŁNIERZ

DZIELNY ŻOŁNIERZ

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

Z POWIEŚCI

Henryka Sienkiewicza „PAN WOŁODYJOWSKI”

z upoważnienia autora przerobione

przez

H. Sł . . .



WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1900

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Февраля 1900 года.

ROZDZIAŁ I.

Po długich latach walk ciężkich z wieloma naraz nieprzyjaciółmi, po stokroć gorszych buntach i wojnach domowych nastąpiła dla kraju krótka chwila względnego spokoju, odpoczynku i ciszy.

Ci z żołnierzy, którzy całe głowy z pogromu wynieśli, dążyli do zagrody rodzinnej, do istot kochanych, aby oczy widokiem swoich ucieszyć, rany zagoić, a wreszcie na nowe trudy i boje sił nabrać.

Pan Michał Wołodyjowski, równie jak inni, z owych chwil spokoju korzystał. Ożenił się, żonę kochał okrutnie, a ona jego—i dobrze im było razem... Tylko, chociaż czwarty rok już żyli ze sobą, dzieci nie mieli. Za swoje i swej Basi sumy kilka wiosek koło Kamieńca kupił, w tych majątnościach ład i rygor żołnierski zaprowadzał, niespokojną ludność w kluby brał, popalone chaty wznosił, dwory obronne fundował — słowem, jak dawniej dzielnie kraju bronił, tak teraz dzielnie gospodarzyć począł, szabli zresztą z ręki nie wypuszczając.

W tych niespokojnych stronach jedynie szabla i sła-

wa jego imienia mogły być majątności obroną. Swawolne kupy kozackie, luźne watahy tatarskie i rozbójnicy ze stepów drżeli na wspomnienie „małego sokoła.“ Więc stada jego chodziły bezpiecznie po stepie i nawet sąsiadów jego szanowano. Otoczyła go cześć i miłość ludzka.

Znojne lato 1671 roku zastało państwa Wołodujowskich w dziedzicznej Basinej wsi, Sokole. Podejmowali oni tam luzno i dworno przyjaciela swego, pana Zagłobę, który, nie bacząc na trudy podróży, ni na wiek swój podeszły, aż tu do nich w odwiedziny przyjechał. Wszelako radość gospodarzy z drogiego gościa prędko zamącona została rozkazem hetmańskim, który nakazywał Wołodujowskiemu objąć komendę w Chreptiowie, nad wschodnią kraju granicą, tam czuwać, głosów od strony pustyni i Tatarów nasłuchiwać, luźnym czambułom zabiegać i okolice z hajdamaków a zbójów oczyścić.

Mały rycerz, jako żołnierz do posług kraju zawsze chętny, wnet nakazał, aby czeladź ściągnęła stada ze stepów i sama w zbrojnym pogotowiu stanęła.

Rozdzierało się wszelako jego serce na myśl rozstania z żoną, bo kochał ją tak serdecznie, że prawie dychać bez niej nie mógł; a brać ją w dzikie i głucho puszcze uszyckie i na niebezpieczeństwa przeróżne narażać nie chciał.

Lecz ona upierała się z nim jechać.

— Co się stanie z tobą, to się stanie i ze mną—mówiła.—Nie chcę innego losu, jeno takiego, który i tobie przypadnie...

Pan Michał zrazu ani słuchać o tem nie chciał, ale że to do pana Zagłoby wielkie zdawna już miał zaufanie, przeto do niego o radę się zwrócił.

— Waćpan masz tak bystry rozum—mówił do niego—to mi też poradź, mam-li brać Baškę do Chreptiowa, czy też lepiej tu ją zostawić? Muszę jeno to dodać, że pustynia to okrutna. Wioszczyzna zawsze była licha, a od dwudziestu lat tyle razy przeszły przez nią watahy kozackie i czambuły tatarskie, że nie wiem, czy dwie belki zbite do kupy znajdę. Siła tam jarów puszcza porosłych, schówek, pieczar głębokich i różnych ukrytych miejsc, w których zbójcy setkami się chowają, nie mówiąc o tych, którzy z Wołoszy przychodzą.

— Zbójcy przy takiej sile, to furda—odrzekł Zagłoba—czambuły także furda, bo jeśli nadciągną potężne, to będzie o nich głośno, a jeśli mniejsze, to wygnieciesz.

— A co!—zawołała Basia—a czy nie furda? Zbójcy furda! czambuły furda! Z taką siłą Michał mnie przed całą potęgą tatarską ochroni.

— Nie przeszkadzaj mi—odrzekł Zagłoba—bo przeciw tobie rozsądzę.

Basia położyła prędko obie dłonie na usta i główkę wtuliła w ramionka, udając, że się okrutnie pana Zagłoby boi. A on, choć widział, że kobiecinka żartuje, przecie mu to pochlebilo, więc położył zgrzybiałą swą rękę na jasnej głowie Basinej i rzekł:

— Nie bój się, pociechę ci sprawię. Oto mojem zdaniem, powinniście się kupy trzymać.

Usłyszawszy to, Basia wyskoczyła z radości na środek izby i, skacząc a klaszcząc w ręce, poczęła powtarzać:

— A co! kupy się trzymajmy! Wraz odgadłam, że jegomość stanie po mojej stronie! Wraz odgadłam! Je-

dziemy do Chreptiowa, Michale! Choć raz mnie weźmiesz na Tatary! jedyny razik! mój drogi! mój złoty!

— Masz-że ją waćpan! Już jej się na podchody zachciewał!—zawołał mały rycerz.

— Bo przy tobie nie ulękłabym się choćby całej ordy!

— Cicho!—rzekł Zagłoba, wodząc spojrzeniem za Basią, którą lubił niezmiernie.—Myszę, że przecie Chreptiów nie będzie ostatnią od Dzikich Pól stanicą.

— Nie! komendy będą dalej stały: w Mohilowie, Jampolu a ostatnia ma być w Raszkowie—odrzekł mały rycerz.

— Tedy i niebezpieczeństwa niema żadnego—odparł Zagłoba—bo jeśliby nawet cała potęga turecka ku granicom ruszyła, to oni tam o tem najpierw w Raszkowie wiedzieć będą i wam do Chreptiowa znać dadzą. Szczerze to mówię, a przecie wiesz dobrze, że wolałbym sam starym łbem nałożyć, niżli ją na jakowys szwank narazić. Baśka jeno musi przyrzec, że w razie wielkiej wojny pozwoli się bez oporu choćby do Warszawy odwieźć, bo wówczas nastaną pochody okrutne, bitwy zawzięte, oblężenia taborów, może i głody. A w takich potrzebach trudno jest mężowi głowę ochronić, a cóż dopiero niewieście.

— Radabym ja choć poledz przy boku Michałowym—odparła Basia.—Ale przecie rozum mam i wiem, że jak nie można, to nie można. Byle mi teraz nie było wzbronno do Chreptiowa z Michałem iść, to w razie wielkiej wojny odesłacie mnie waćpaństwo, dokąd wam się podoba.

— Jegomość pan Zagłoba odprowadzi cię aż na Podlasie, do Skrzetuskich. Tam przecie Turczyn nie dojdzie.

— Pan Zagłoba! pan Zagłoba!—odparł przedrzeźniając stary szlachcic.— Czy to myślisz, że w czasie wojny z Turczyinem będę się już za podlaski piec chował i na pieczywo spoglądał, żeby się zaś nie przepaliło? Jeszczem nie kosztur i mogę się do czego innego przydać. Po stołku na konia już siadam, ale jak raz się siądę, tak dobrze na nieprzyjaciela skoczę, jak każdy młodzik. Jeszczeć się ni piasek, ni trociny, chwalić Boga, ze mnie nie sypią. Na proceder z Tatary już nie wyjdę, w Dzikich Polach wietrzyć nie będę, bom też i nie gończy, ale w ataku trzymaj się przy mnie, jeżeli potrafisz, a pięknych rzeczy jeszcze się napatrzysz.

— Chciałżebyś wać jeszcze w pole ruszyć?

— Zali myślisz, że nie zechcę sławną śmiercią sławnego żywota zapieczętować, po tylu latach służby? A co mi się godniejszego zdarzyć może? Na wielką wojnę idę i kwita! A teraz do Chreptiowa z wami jadę, bo się w Baśce okrutnie rozmiłowałem.

ROZDZIAŁ II.

Pan Wołodyjowski nie próżnował w swojej stannicy, a i ludzie jego byli w ustawicznej pracy. Stu, czasem nawet mniej ludzi zostawało na załodze w Chreptiowie, reszta zaś była w ustawicznych rozjazdach. Największe rozjazdy komenderowane były do przetrząsania okolicznych jarów, i te żyły jakoby w wojnie ciągłej, kupy bowiem zbójcekie, często liczne bardzo, silny zawsze stawiały opór. Mniejsze poczty wyprawiał pan Michał hen, daleko w stepy, a tych zadaniem było sprowadzanie języków, podsłuchiwanie nieprzyjaciela, czy gdzie uderzyć nie zamierza, i wyszukiwanie go w stepach. Kraj uspokajał się zwolna, ale jeszcze siła było w nim do roboty. Drogi nie były jeszcze bezpieczne; rozwydrzony lud chętniej do zbójców, niż do wojska przystawał i za lada przyczyną krył się w skaliste jary. Przez Dniestr przekradały się często watahy tatarskie i zapuszczały po kraju zagony, napadając po tatarsku na wsie i miasteczka i zagarniając wszystko, co się zagarnąć dało. Na chwilę jeszcze nie można by-

ło w tych stronach szabli z ręki popuścić, ani muszkietu na gwoździu zawiesić.

Najczulej trzeba było nadstawiać ucha od wschodniej strony. Tam bowiem od głównej siły Doroszeńkowej odrywały się co chwila mniejsze i większe zagony i, podchodząc pod komendy polskie, roznosiły spustoszenie i pożogę po okolicy.

Tymczasem Basia rozgospodarowywała się w Chreptiowie.

Cieszyło ją niezmiernie owo życie żołnierskie, któremu nigdy nie przypatrywała się dotąd tak blisko: ruch, pochody, powroty z wypraw, widok jeńców. Zapowiadała też Wołodyjowskiemu, że choć na jedną wyprawę wziąć ją musi. Ale tymczasem poprzestać musiała na tem, że, dosiadłszy konia, uganiała się w towarzystwie męża i pana Zagłoby po stepie za zwierzem, zawsze na przedzie, tuż za chartami, aby dopadłszy lisa lub basiora, z fuzyjki mu między czerwone ślepie huknąć.

Żołnierze z każdym dniem kochali Basię więcej i rozplywali się nad jej kawalerską fantazyą.

— Gdyby „małego sokoła“ zabrakło—mówili—ona mogłaby komendę objąć, i nie żał by było pod takim dowódcą zginąć. Ot żona dla naszego komendanta!

Gdy w listopadzie wieczory stały się dłuższe, a od szerokiego stepu był spokój, w domu pułkownika zbierać się poczęli oficerowie i towarzysze broni, opowiadając o dawnych dziejach i wojnach, w których brali udział. Prym między nimi trzymał pan Zagłoba. On był najstarszy, najwięcej widział i siła dokazał, lecz gdy po jednym i drugim kieliszku zdrzemnął się wreszcie, wtedy i inni głos zabierali.

A mieli oni co opowiadać, byli bowiem tacy, którzy

odwiedzili Szwecyę, byli tacy, którzy młode lata na Sicy, między kozakami spędzili; byli, którzy za młodych lat w Krymie owiec, jako niewolnicy, strzegli; którzy tam studnie, w niewoli będąc, kopali; którzy na galemach tureckich wiosłowali; którzy w Jerozolimie czołem o grób Chrystusa bili, którzy doświadczyli wszelkich przygód i wszelkiej niedoli.

Kręgiem zasiadali w obszernej izbie starzy żołnierze. Na kominie paliły się kłody smolne, rzucając rzęsiste blaski na całą izbę. Mołdawskie wino grzało się, z rozkazu Basi, przy żarze, a pacholkiwie czerpali je cynowymi kusztyczkami i podawali rycerzom. Z za ścian dochodziło nawoływanie straży, świerszcze grały wizbie, a czasem poświstywał w szparach, mchem tkanych, wiatr listopadowy, który, dmuchając z północy, stawał się coraz zimniejszy.

W takie to zimna najmilej było siedzieć w zaciśniej i cieplej izbie i słuchać przygód rycerskich.

W taki też wieczór opowiadał raz pan Muszalski, jeden ze starych żołnierzy, co następuje:

— W młodości odziedziczyłem na Ukrainie substancję znaczną. Rad byłem tam siedział, że to do ordy było niedaleko i o przygodę łatwo. Fantazyja kawalerska do boju mnie ciągnęła, to też nieraz w kompanii niespokojnych duchów choć w Dzikie Pola chodziłem i rozkoszy zażywałem. Jedno mi tylko dolegało srodze, że miałem sąsiada lichego. Był to kozak z pochodzenia, który na wojnach majątności się dorobił i ziemi kawał kupił. Zwał się Dydiuk. Owóz Dydiuka tego niecierpiałem, ile że zatargi sąsiedzkie miewaliśmy ze sobą ciągle, a on mi też oną nienawiść z nawiązką oddawał.

Miałem za wsią pasiekę zacną i raz poszedłem ją

oglądać. Było to pod wieczór. Zabawiłem tam ledwie z dziesięć pacierzy, aż tu hałas jakowyś o moje uszy uderza. Obejrzę się: dym, jako obłok, nade wsią. Po chwili lecą ludzie. Orda! orda! Tatarzy! A tuż za ludźmi—ćma, powiem państwu! Strzały lecą, jakoby deszcz zacinał, i gdzie nie spojrzę, kozuchy baranie i dzikie mordy ordyńców. Ja do konia. Nimem nogą strzemienia dotknął, już mnie z pięć arkanów chwyciło. Rwałem je przecie... Silny byłem... Ale byłem jeden, a ich ćma. W trzy miesiące potem znalazłem się razem z innymi niewolnikami za Bachczysarajem, we wsi tatarskiej.

Panu memu było na przezwisko Sałma-bey. Bogaty był Tatarzyn, ale nieludzki i dla niewolników ciężki. Musieliśmy pod batogami studnie kopać i w polu pracować. Chciałem się wykupić. Miałem za co. Nie wiem, czyli listy nie doszły, czy okup w drodze przejęto, dość, że nic nie przyszło... Powieźli mnie do Carogrodu i tam na galery sprzedali.

Straszna to niewola onych galerników! Bo ich, gdy raz na brzegu statku wedle wiosła przykują, to nie odkuwają już nigdy: ani na noc, ani na dzień, ani na święta—i do śmierci w łańcuchach tam żyć potrzeba; a tonie-li okręt, to oni z nim razem tonąć muszą. Nadzy są wszyscy, zimno ich mrozi, deszcz moczy, głód gniecie, a to niemasz innej rady, jeno łzy i praca okrutna, bo wiosła są tak wielkie i ciężkie, że dwu ludzi do jednego trzeba...

A mnie przywieźli w nocy i zakuli, posadziwszy naprzeciw jakiegoś towarzysza niedoli, którego w ciemnościach rozeznać nie mogłem. Kiedym usłyszał ów stukot młotów i dzwonienie kajdanów, miły Boże! zdawało mi się, że ćwieki w moją trumnę zabijają! Modli-

łem się, ale nadzieja z serca uleciała, jakoby ją wiatr zwiął... Jęki moje dozorca batogami potłumił, więc przesiadziałem cicho, póki nie zaczęło świtać. Spojrzę ja wtedy na tego, kto ma ze mną wiosłem robić... Jezu Chryste miły! Zgadnijcie państwo, kto był naprzeciw mnie? — Dydiuk!

Poznałem zaraz, chociaż był goły. Wychudł i broda urosła mu w pas, bo już dawniej był na galery zaprzędan... Począłem się na niego patrzyć, on na mnie. Poznał mnie także... Nie mówiliśmy do siebie nic... Ot, na co nam obu przyszło! Ale przecie taka jeszcze była w nas zawziętość, że nietylko nie powitaliśmy się po Bożemu, ale uraza buchnęła w nas jak płomień i aż radość chwyciła za serce każdego, że i jego wróg tak samo cierpieć musi. Tegoż samego dnia nawa ruszyła w drogę. Dziwne było z największym nieprzyjacielem za jedno wiosło imać, z jednej misy ochłapy jeść, którychby psi u nas nie chcieli, jedno tyraństwo znosić, jednym powietrzem dychać, razem cierpieć, razem płakać. Ciężko było. W dzień znój niewypowiedziany. Słońce tak pali, że aż woda zda się od niego płonąć. A kiedy owe blaski poczną drgać i skakać na falach, rzekłbyś, że deszcz ognisty pada. Pot się z nas lał, a język przysychał nam do podniebienia... W nocy zimno kąsało, jak pies... Pocięchy znikąd — nic, jeno strapienie, żal za utraconem szczęściem, strapienie i mordęga. Słowa tego nie wypowiedzą... Dzień szedł za dniem, tydzień za tygodniem, myśmy z Dydiukiem słowa do siebie nie rzekli, bo jeszcze hardość i zawziętość mieszkała w sercach naszych...

Ale poczęliśmy zwolna kruszeć pod ręką Bożą. Z trudu i zmienności pogody grzeszne cielsko jęło nam prawie odpadać od kości... Rany, surowcem zadane, gno-

iły się na słońcu. W nocy modliliśmy się o śmierć. Co się zdrzemnę, to słyszę, jak Dydiuk mówi: „Chryste zmiłuj się! Święta Przczysta, zmiłuj się! daj umrzeć!“ On też słyszał i widział, jakom ja do Bogarodzicielki i Jej Dzieciątka ręce wyciągał... A tu jakoby wiatr morski urazę z serca zwiewał. Coraz mniej, coraz mniej... W końcu, jakem nad sobą płakał, tom i nad nim płakał. Jużeśmy też oba spoglądali na siebie inaczej. Ba! poczęliśmy sobie przysługi świadczyć. Jak na mnie przyszły poty i śmiertelne znużenie, to on sam wiosłował; jak na niego, to ja... Przyniosą miś, każdy uważa, żeby i drugi miał. Ale patrzcie państwo, co to jest ta natura ludzka! Poprostu mówiąc, miłowaliśmy się już, ale żaden nie chciał tego pierwszy powiedzieć... Szelma i w nim była, ukraińska dusza!... Dopieroż, kiedy okrutnie nam źle było i ciężko, a mówili w dzień, że nazajutrz spotkamy się z flotą nieprzyjacielską, przyszła noc. Jęczymy z cicha i — on po swojemu, ja po swojemu — modlimy się jeszcze żarliwiej. Patrę ja przy świetle miesiąca, aż jemu ciurkiem łyż na brodę leczę. Wezbrało mi serce, więc mówię: „Dydiuk, toć my z jednych stron, odpuśmy sobie winy!“ Jak to usłyszał — miły Boże! — kiedy chłopisko nie ryknie, kiedy się nie zerwie, aż łańcuchy zabrędkły. Przez wiosła padliśmy sobie w ramiona, całując się a płacząc... Nie umiem rzec, jakośmy się długo trzymali, bo pamięć nas odeszła, jenośmy się trzęśli ode łkania.

Tu przerwał pan Muszalski i coś koło oczu palcami przebierać począł. Nastąpiła chwila ciszy, jeno zimny wiatr północny poświstywał między bierwionami, w izbie ogień syczał i świerszcze grały.

Zaczem pan Muszalski odsapnął i tak dalej prawił:

— Pan Bóg pobłogosławił nas i łaskę swoją oka-

zał, ale na razie gorzko przyplaciliśmy ów braterski sentyment. Oto, trzymając się w objęciach, tak poplątaliśmy łańcuchy, żeśmy ich odczepić nie mogli. Przyszli dozorczy i dopiero nas rozczepili, ale kańczug więcej godziny świstał nad nami. Bito nas, nie patrząc gdzie. Popłynęła krew ze mnie, popłynęła i z Dydiuka, pomieszła się i poszła jednym strumieniem w morze. No! nie to! stare dzieje... na chwałę Bożą!...

I od tej pory zdało mi się, że i rodzzonego brata nie miłowałbym więcej, jako jego miłowałem. A on, jak niegdyś nienawiść, tak teraz miłość oddawał z nawiązką. Taką już miał naturę...

Nazajutrz była bitwa. Nieprzyjaciel rozegnał naszą flotę na cztery wiatry. Nasza galera, potrzaskana srodze od armat, zataiła się przy jakowejś pustej wysepce, poprostu skale, z morza sterczącej. Trzeba ją było reparować, a że żołnierze poginęli i rąk brakło, musieli nas rozkuć i siekiery nam dać. Jakaś tylko na ląd wysiedli, spojrzę na Dydiuka — a u niego już to samo w głowie, co u mnie. — „Zaraz?“ — pyta mnie. — „Zaraz“ — mówię i nie myśląc dłużej, w łeb dozorcę; wtem Dydiuk samego kapitana. Za nami inni, jako płomień! W godzinę skończyliśmy z Turkami, potem zładziliśmy jako tako galerę i siedli na nią, bez ciemieców i bez łańcuchów, a Bóg miłosierny kazał wiatrom przywiał nas do lądu.

O zebranych chlebie dostaliśmy się z powrotem do kraju. Podzieliłem się z Dydiukiem moim majątkiem i obaj zaciągnęliśmy się znowu do wojska, żeby za nasze łzy i za naszą krew zapłacić.

Poszliśmy do Krymu. W czasie powrotu z onej wyprawy, Dydiuk od strzały poległ. Ja ostałem i teraz oto, ile razy łuk naciągam, robię to na jego intencją.

Tu znowu umilkł pan Muszalski i znowu słychać było tylko poświst północnego wiatru i trzaskanie ognia.

Wtem wszedł niespodziewanie do izby oficer, którego rano pan Wołodyjowski z podjazdem wysłał, a który teraz właśnie z niego powracał.

— Panie komendancie—rzekł zaraz we drzwiach—u Sierocego Brodu, po stronie multańskiej, kupa jako waś leży i ku nam zamyśla.

— Co za ludzie?—spytał pan Michał.

— Łotrzykowie. Jest trochę Wołoszy, trochę Węgrzynów, a najwięcej luźnej ordy. Razem ze dwieście ludzi.

— To ci sami, o których miałem wiadomość—rzekł Wołodyjowski.—Ale tam samej ordy będzie ze dwieście. W nocy się pewno przeprawią, a świtaniem my im zastąpić. Pan Motowidło i Mellechowicz niech będą od północks gotowi; stadko wołów na przynętę im podegnąć, a teraz do kwater!

Żołnierze poczęli się rozchodzić. Ale nie wszyscy jeszcze opuścili izbę, gdy Basia, podbiegłszy do męża, poczęła mu coś szeptać do ucha. On uśmiechał się i trząsał odmownie głową, że na to się nie zgadza. Ona zaś coraz bardziej nalegała.

Widząc to pan Zagłoba i domyślając się, że Basia na oną wyprawę się naprasza, rzekł:

— Uczynźże jej, Michale, tę satysfakcją, to i ja stary z wami pocłapię.

ROZDZIAŁ III.

Wataha, która się zatrzymała u Sierocego Brodu, musiała być bardzo liczna, skoro odważyła się podejść pod Chreptiowską komendę, mimo strachu, jaki samo imię pana Wołodyjowskiego we wszystkich rabusiach obudzało.

Jakoż drugi podjazd przyniósł wiadomość, że składa się ona z czterystu przeszło głów, pod wodzą Azbabeya, słynnego grasanta, który od kilku lat napełniał postrachem całą okolicę.

Ucieszył się pan Wołodyjowski, gdy dowiedział się, z kim będzie miał do czynienia, i zaraz stosowne wydał rozkazy. Prócz Mellechowicza i Motowidły, poszły jeszcze dwie chorągwie. Poszły one jeszcze w nocy i niby to w różne strony, ale jako rybacy szeroko założą niewodem, aby następnie zejść się przy jednej przeregłbi, tak i owe chorągwie, rozległem idąc kółkiem, miały się zejść o brzasku przy Sierocym Brodzie.

Basia z bijącym sercem przypatrywała się wyjściu wojsk, jako że miała to być jej pierwsza wyprawa, i ro-

sło w niej serce na widok sprawności tych starych wilków stepowych.

Wychodzili tak cicho, że w samej fortalicyi można ich było nie dosłyszeć. Nie zabręczały munsztuki, strzemię nie szczęknięło o strzemię, szabla o szablę, koń nie zarżał. Księżyc oświecał dobrze wzgórze stanicze i step, lekko ze wszystkich stron pochyły; a jednak, ledwie co która chorągiew wyszła za częstokół, ledwie zamigotała srebrnemi iskrami, które księżyc z szabel wykrzesywał, już nikła z oczu, jak stado kuropatw, w fali traw nurkujące. Było coś tajemniczego w tym pochodzie. Basi zdawało się, że to myśliwi wyjeżdżają na jakoweś łowy, mające się o świtaniu rozpocząć, i dlatego tak idą cicho i ostrożnie, by zwierza przedwcześnie nie spłoszyć.

Więc wielka ochota wstąpiła w jej serce, aby w tych łowach wziąć udział.

Pan Wołodyjowski nie sprzeciwił się temu, bo go pan Zagłoba do zgody skłonił.

Ruszyli jednak dopiero we trzy godziny po wyjściu pierwszych chorągwi, bo tak był całe dzieło pan Michał ułożył. Poszedł z nimi pan Muszalski i dwudziestu dragonów z wachmistrzem, samych Mazurów, ludzi na schwał, za których szabliskami mogła pani komendantowa być zupełnie bezpieczną.

Sama ona, mając jechać na męskiej kulbace, przybrana była w aksamitne szarawarki bardzo obszerne, podobieństwo spódnicy czyniące, a wpuszczone w safianowe żółte buciki. U boku miała szabelkę lekką turecką i pistolety w olstrach.

Tak uzbrojona, siedząc na cisawym bachmaciku, chybkiem i jak sarna łagodnym, zdawała się być dzie-

ckiem hetmańskim, które pod opieką starych wojowników na pierwszą wyprawę idzie.

Oni też uczyli ją, jak się ma zachować, jak szablą robić, jak konia zażywać, żeby szwanku jakowego nie ponieść.

— Ale mnie wolno będzie skoczyć—co? Michałku, co?—pytała z iskrzącymi oczyma.

— W tłok ci nie pozwolę, bo w tłoku o przygodę łatwo, ale kazałem po rozbiciu jakową kupę na nas nagnać. Wówczas rozpuścim konie i możesz ściąć sobie jednego albo i dwóch.

— Jeno mnie nie wyręczaj i ludziom przykaż, aby mnie nikt nie wyręczał bez potrzeby.

— No, no! obaczym jeszcze, czy ci animuszu stanie, jak przyjdzie co do czego!—odparł uśmiechając się mały rycerz.

— Albo jeżeli się którego z nas za połę nie ułapisz—dodał Zagłoba.

— Obaczym!—rzekła z oburzeniem Basia.

Tak rozmawiając, wjechali w okolicę, tu i owdzie haszczami pokrytą. Do brzasku było już niedaleko, ale tymczasem zrobiło się ciemniej, bo księżyc zaszedł.

Wtem z bliższej kępy wychylił się nagle jeździec na koniu.

— Pana Motowidły? — spytał Wołodyjowski, gdy semen osadził konia tuż przed nim.

— Tak jest, wasza miłość!

— Co słyhać?

— Przeszli Sierocy Bród, potem kierując się na ryk wołów, poszli ku Kałusikowi. Woły pobrali i stoją na Jurgowem polu.

— A gdzie pan Motowidło?

— Założył od wzgórza, a pan Mellechowicz od Kałusika. Inne chorągwie nie wiem.

— Dobrze—rzekł Wołodyjowski—ja wiem; ruszaj do pana Motowidły i każ zamykać.

Semen położył się na kulbace i ruszył, aż śledziona w koniu z miejsca zagrała i wkrótce zniknęła. Oni zaś pojechali dalej, jeszcze ciszej, jeszcze ostrożniej... Tymczasem rozwidniło się zupełnie. Mgła, która o brzasku wstała była od ziemi, opadła całkiem na dół, a na wschodniej stronie nieba ukazała się długa wstęga świetlista i różowa, której światło i różowość poczęły zabarwiać powietrze, wzgórza, zręby odległych jarów i szczyty.

W tem świetle ukazało się ich oczom odległe o kilka staj wzniesienie, ku któremu wskazał Wołodyjowski ręką i rzekł:

— Tam staniam.

Po tych słowach ruszyli klusem. Niedaleko wierzchołka wstrzymali konie.

— Nie będziem do samego szczytu dojeżdżać—rzekł—bo przy jasnym dniu, mogliby nas wziąć na oko, ale zsiadłszy z koni, przybliżym się do zrębu tak, by głowy niewiele wystawały.

To rzekłszy, zeskoczył z konia, a za nim Basia, pan Muszański i kilku innych. Dragoni pozostali, trzymając konie, oni zaś posunęli się aż do miejsca, w którem wzniesienie zapadało się ścianą, prawie prostopadłą ku dołowi.

U stóp tej ściany wysokiej na kilkadziesiąt łokci, rosły dość gęsto wazkim pasem haszcze, dalej zaś ciągnął się step niski, równy, którego z tej wysokości ogromną przestrzeń mogli objąć oczyma.

Równina owa pokryta była również kępami zarośli. Z największej kępy cienkie smugi dymu wznosiły się ku niebu.

— Widzisz—rzekł do Basi Wołodujowski—to nieprzyjaciel się tam przytaił.

— Widzę dymy, ale nie widzę ni ludzi, ni koni—odrzekła z bijącym sercem Basia.

— Bo ich zarośla skrywają, chociaż wprawne oko ich dojrzy. Ot, tam patrz, dwa, trzy, cztery, całą kupę koni widać.

— Prędko ku nim zjedziem?

— Nam tu ich przygnają, ale mamy czas, bo od owej kępy będzie ze ćwierć mili.

— Gdzie nasi?

W odpowiedzi jął jej pan Michał pokazywać wysuwające się w dali z boru chorągwie, które jakoby pierścieniem zwolna otaczały czambuł. Nikt dwóch pacierzy nie uchybił.

— Noga nie powinna ujsć!—zakrzyknął mały rycerz.—Na koń teraz!

Szybko zwrócili się ku dragonom i skoczywszy na kulbaki, zjeżdżali bokiem wzniesienia między rosnące w dole haszcze, gdzie stał ukryty oddział pana Motowidły. Nieprzyjaciel dojrzał widocznie pierwszą wychodzącą z lasu chorągiew, bo w tejże chwili sypnęły się z gęstwiny, rosnącej w środku równiny, kupy jezdnych tak, jakoby kto stado sarn ruszył.

Z początku szli stępem brzegiem gęstwiny. Widocznie nie mieli jeszcze pewności, czy owa chorągiew idzie na nich, czy też to jest oddział, przeglądający tylko okolicę. Dojechawszy do pół kępy, poczęli iść prędkiej. Naraz, gdy pierwsze szeregi sięgnęły otwartego

stepu, wstrzymali nagle konie, a z nimi wstrzymała się cała wataha.

Oto dojrzeli ciągnący z tej strony oddział Mellechowicza.

Wówczas zatoczyli półkolem w bok od kępy i oczom ich przedstawiła się w całej pełni idąca już kłusem trzecia chorągiew.

Wtedy zrozumieli jasno, że są otoczeni. Dzikie okrzyki okrzyki się wśród kupy, czambuł wyciągnął się w mgnieniu oka w ławę i gnał ku jednej, zdawało się, wolnej stronie, to jest ku wzgórzu, gdzie stał mały rycerz na czele oddziału Motowidły. Nadchodzące chorągwie skoczyły za uciekającymi, aż równina zagrzmiała od tętentu.

A tamci pędzili, jak szarak, który czuje psa za sobą. Już są nie więcej, jak o pół staja od wzgórza, już widać wyciągnięte łby końskie, słychać chrapanie bachmatów, których wyszczerzone zęby i wytrzeszczone oczy świadczą, że idą tak prędko, iż wiatr im dech zapiera. Wołodujowski daje znak i płot piszczeli semeńskich pochyła się ku nadbiegającym.

— Ognia!

Huk i dym—i jakoby wichur uderzył w kupę plew. W jednym mgnieniu oka wataha rozlatuje się na wszystkie strony, wyjąc i krzycząc. Ale do ucieczki już miejsca nie stało, bo oto wszystkie chorągwie nadbiegły już i następują ze wszystkich stron.

Rozpoczęła się bójka straszna, zawzięta. Basia skoczyła razem z semenami. Z początku zamroczyło ją trochę ze wzruszenia i z wielkiego pędu, ale wprędce odzyskała przytomność. Ujrzała przed sobą straszną twarz

ordynca, cięła zamasyście szabelką i twarz znikła nagle.

Wówczas do uszu Basinych doszedł spokojny głos męża:

— Dobrze!

Głos ten nadzwyczajnej dodał jej otuchy i poczęła bić z zupełną już przytomnością umysłu. Oto znów szczyrzy przed nią zęby jakaś straszliwa głowa: Basia mach po niej!... Tam znowu ręka kiścień podnosi: Basia mach po niej!... Widzi jakieś plecy w tołubie: sztychem w nie; zaczem tnie w prawo, w lewo, wprost, a co tnie, to człek leci na ziemię, zdzierając uździenicą konia. Basi aż dziw, że to tak łatwo. Ale łatwo dlatego, że z jednej strony jedzie strzemieniem w strzemię mały rycerz, z drugiej pan Motowidło. Pierwszy, to zgasi człowieka jak świecę, to płytkim sztychem odwali ramię wraz z bronią, to czasem wetknie szablę między Basię a nieprzyjaciela i wraża szabla wyleci nagle tak w górę, jak by była ptakiem skrzydlatym.

A pan Motowidło pilnuje również nie gorzej drugiego boku mężnej pani.

Lecz tłok uczynił się wkrótce tak srogi, że Wołodjowski nakazał Basi cofnąć się wraz z kilku ludźmi z zamętu. Basia zaś usłuchała go niezwłocznie, bo choć mężne serce ciągnęło ją do walki, ale przecie jej niewieścia natura zaczęła brać górę nad męstwem i wzdrygać się wśród tej rzezi, na widok krwi, wśród wycia, jęków i chrapania konających.

Cofając zwolna konia, wprędce znalazła się za kółem walczących, w towarzystwie trzech dragonów, którzy mieli na nią dawać baczenie.

A tam bito i bito. Krzyki rozpaczliwe wstrząsały

powietrzem, a Basi niedawno jeszcze tak pełnej zapału zaczęło się ścisnąć serce z litości nad tymi ginącymi. I gdyby wiedziała, że cokolwiek wskóra, skoczyłaby bez namysłu nazad w ten tłok, w środek tej rzezi, by błagać litości dla tych resztek, które jeszcze przy życiu zostały, i już raz tę straszną rzeź zakończyć.

Upłynęło tak jeszcze z pół godziny. Nagle kupka ordynców, licząca może dwudziestu jeźdźców, wyrwała się z morderczego koliska i poczęła biedz, jak wichur, ku wzgórz, u którego stóp stała Basia.

Widok niebezpieczeństwa wlał w tej chwili moc do jej serca i przytomność do jej umysłu. Zrozumiała, że zostać jest zgubą, bo kupa owa samym pędem obali ich i roztratuje, nie mówiąc o tem, że na szablach zostaną rozniesieni. Stary wachmistrz widocznie tego samego był zdania, bo chwycił ręką za cugiel konia Basinego, zawrócił go ku ucieczce i krzyknął desperackim prawie głosem:

— W konie, jasna pan!

Basia pomknęła jak wichur, ale sama: wierni trzej żołnierze stanęli murem na miejscu, by choć na chwilę powstrzymać nieprzyjaciela i dać kochanej pani czas odsadzenia się na większą odległość.

Tymczasem za uciekającymi skoczyli zaraz w pościgu żołnierze; potem poczęli się wymykać i inni, których znów goniono, i tak cały step pokrył się w jednej chwili kupami i pojedynczymi, pędzącymi co koń wyskoczył jeźdźcami.

Basia prędko ochłonęła z przestrawu i krew rycerska zagrała na nowo w jej żyłach. Dziańet wyciągnął się, jak sarna, wiatr świszczął jej w uszach. Basia obejrzała się i zobaczyła oną gonitwę po stepie. Zachciało

jej się w oczach całego rycerstwa pokazać, że się nie boi: w jednej chwili pohamowała bieg konia, wyciągnęła z olster pistolety i wypaliła dwa razy do jadącego najbliższej ordyńca, a następnie zatoczywszy koło, skoczyła całym pędem w stronę Chreptiowa. Lecz zaledwie dzianet przebiegł z szybkością jaskółki kilkanaście kroków, gdy nagle zaczerniała przed nim rozpadlina stepowa. Basia spięła go ostrogami bez namysłu i szlachetny zwierz nie odmówił skoku. Ale przednie tylko jego kopyta zachwyliły nieco przeciwnego brzegu, niedość zmarznięta jeszcze ziemia obsunęła mu się z pod nóg i runął w szczelinę wraz z Basią.

Na szczęście nie przygniół jej, bo pierwej jeszcze zdołała wyrzucić nogi ze strzemion i przechylić się w bok z całej mocy. Padła też na gruby pokład mchu, wyscielającego niby futrem dno szczeliny, ale wstrząśnięcie było tak silne, że zemdląca.

Tymczasem Wołodyjowski, który w chwili rozpoczęcia pościgu był po drugiej stronie polany i nie widział, co się z Basią stało, teraz, gdy nie dostrzegł jej nigdzie dokoła, leżąc prawie na karku końskim wyblądły, z rojem okropnych myśli w głowie, bódł konia ostrogami, okładał go płazem i leciał co tchu.

Dotarł właśnie parowu, gdy żołnierze, którzy widzieli nieszczęśliwy skok Basi i skoczyli jej na ratunek, poczęli wołać z głębi:

— Bywaj! Tu bywaj!

W minutę później Wołodyjowski skoczył na dno jaru, za nim pan Zagłoba, Muszalski i inni oficerowie.

— Nic jej! — zakrzyknął pan Zagłoba, rzuciwszy błyskawicą spojrzenie na bledziuchną postać Basi i na

mchy, na których leżała. — Nic jej! Mchy ocaliły ją od śmierci.

Równocześnie chwycił manierkę, nalał gorzałki na dłoń i poczał nią skronie Basine nacierać.

Inni skoczyli wraz po wodę.

Ale nim wrócili, ona otworzyła oczy i poczęła ustami chwytac powietrze. W kilka minut przyszła zupełnie do siebie.

Wołodyjowski zapamiętał się z radości.

— A moje-ż ty kochanie—mówił—mało dusza ze mnie nie wyszła. Nic-że ci? Nic cię nie boli?

— Nic mi—odrzekła Baśka.

— Zali to już po bitwie?

— Już. Azba-bey usieczon. Wracajmy teraz prędko, bo się boję, abyś nie zachorzała.

Ale ona, spojrzawszy bystro po obecnych, rzekła naraz:

— Tylko nie myście, waćpanowie, że ze strachu uciekałam. Oho! ani mi się śniło. Jak Michała miłuję, tak sobie dla uciechy gnałam przed nimi, a potem i z pistoletów wypaliłam.

— Koń od owych wystrzałów postrzelon, a jeźdźca wzięliśmy żywcem—dodał Mellechowicz.

Tymczasem pan Wołodyjowski zarządził jeszcze pościg za resztą niedobitków, którzy się po jarach pochować mogli. Ale na to starczyło jednej chorągwi, a reszta wojska i oni ruszyli z powrotem do Chreptiowa.

Wydostali się z jaru na wzgórek i z niego oczom ich przedstawiło się jeszcze pobojowisko.

Trupy ludzkie i końskie leżały miejscami w kupach, miejscami pojedynczo.

Po błękitcie niebieskim płynęły ku nim coraz licz-

niej, z wielkiem krakaniem, stada kruków i siadały opodal, czekając, by kręcący się jeszcze po równinie jeźdźcy odjechali.

— Ot, żołnierscy grabarzowie — rzekł Zagłoba, wskazując ptastwo krzywcem szabli— a niech jeno odjeździem, przyjadą tu wiley z kapelą i będą zębami tym biedakom dzwonić.

— A waćpan siła dziś dokazywałeś? — zagadnęła Zagłobę Basia.

— Nie puszczalem jako świerszcz, nie skakałem jako pchła, ale też za to nie szukano mnie we mchach, jako grzyba, za nos mnie nikt nie ciągnął, ani też w gębę mi nie dmuchał.

Basia próbowała się bronić, ale pan Zagłoba dworował dalej:

— Tak, tak. Biłaś się walecznie, umykałaś walecznie, przewróciłaś kozła walecznie, a teraz będziesz się od bólu w kościach kaszą okładać także walecznie; my zaś musimy cię pilnować, by ciebie razem z twoją walecznością wróble nie zdziobały, gdyż one na kaszę wielce łakome.

Tu przerwał mu mowę huk okrutny. To żołnierze wypalili na wiwat pani komendantowej.

Pogoda zrobiła się cudna. Trębacze po chorągwiach zagrali, dobosze uderzyli w bębny i tak oni huczno i wesoło wracali do Chreptiowa.

ROZDZIAŁ IV.

Oddział Azba-beya był jednym z ostatnich luznych czambułów, które roznosiły po okolicy ogień i śmierć. Ze zniesieniem jego pogranicze uspokoiło się znacznie i chreptiowscy żołnierze mogli po tych nieustannych walkach zażyć nieco wczasu.

A przydało im się to tem łacniej, ile że nie na długo.

Nad wschodnią stroną kraju poczęła sroga zbierać się burza; ale póki śniegi pokrywały ziemię i mrozy srogie trwały, nie było dotąd jej widomych znaków. Były tylko w ludzkich sercach obawy a przewidywania, które dopiero z wiosną sprawdzić się miały.

Jakoż i wiosna tego roku wcześniej zapowiadać się poczęła. Naprzód wstał od Dzikich Pól i Czarnego morza duży a ciepły wiatr, porozrywał i poszarpał chmury, a potem począł je zganiać i rozganiać po niebie, równie jak pies owczarski zgania i rozgania stada owiec.

Chmury, uciekając przed nim, zlewały często ziemię deszczem obfitym, o grubych jak jagody kropkach. Roztopione resztki śniegu i lodu utworzyły na równym

stepie jeziora; z wiszarów poczęły spływać wstążeczki wody, w jarach na dnie wzbierały strumienie, a wszystko to leciało z szumem, gwarem i hałasem do Dniestru, tak właśnie, jak dzieci lecą radośnie do matki.

W przerwach między chmurami przeświecało co chwila słońce, jasne, odmłodzone, jak gdyby w tej powszechnej topieli wykąpane.

Potem jasno-zielone źdźbła trawy poczęły się wychylać z rozmięklej ziemi; cienkie gałązki drzew nabrzmiały obfitem pąkowie. Słońce dogrzewało coraz mocniej; na niebie pojawiły się stada ptastwa: klucze żorawi, dzikich gęsi, bocianów, potem wiatr przywiał stada jaskółek; zarzechotały żaby wielkim chórem w ugrzanej wodzie; rozśpiewało się aż do zapamiętania drobne ptastwo—i przez bory, przez lasy, przez stepy i jary poszedł jeden wielki rozgłos, jakby całe przyrodzenie krzyczało w radości i uniesieniu:

— Wiosna! Wiosna!

Lecz dla tych nieszczęsnych krain wiosna przynosiła żalobę, nie radość—i śmierć, nie życie, bo oto pierwszych zaraz ciepłych dni pan Wołodyjowski odebrał następującą wiadomość:

„Na błoni Kuczunkauryjskiem coraz większe wojska zebranie. Sułtan turecki rusza wszystkie swoje siły, a chan tatarski w pięćdziesiąt tysięcy ordy idzie w pomoc zbuntowanemu kozactwu. Nawała, jak tylko wody obeschną, ruszy na nas. Niech Bóg zmiłuje się nad krajem naszym.“

Wołodyjowski posłał natychmiast pachołka swego, Piętkę, z tą wiadomością do hetmana. Sam jednak nie spieszył się z Chreptiowa. Najprzód, jako żołnierz, nie mógł owej stannicy bez rozkazu hetmańskiego opuścić,

potem zbyt wiele lat spędził na wojowaniu z Tatury; aby nie miał wiedzieć, że czambuły tak prędko nie ruszą. Jeszcze-ż wody nie opadły, jeszcze trawy nie wyrosły dostatecznie, jeszcze i kozacy na zimowiskach stali. Turków spodziewał się mały rycerz chyba dopiero latem, bo chociaż zbierali się już, ale tak olbrzymi tabor, takie tłumy wojsk, sług obozowych, ciężarów, koni, wielbłądów i bawołów mogły się posuwać bardzo wolno. Tatarów należało wyglądać wcześniej, bo w końcu kwietnia lub w maju. Wprawdzie przed głównym siehieniem, liczącym setki tysięcy wojowników, spadały zawsze na kraj luźne czambuliki i mniej więcej liczne watahy, jak pojedyncze krople deszczu przed ulewą. Ale tych nie bał się mały rycerz. Nawet wyborny komunik tatarski nie był w stanie dotrzymać w otwartym polu jeździe polskiej, a cóż dopiero takie kupy, które na samą wieść o zbliżaniu się wojsk rozpraszały się, jak kurzawa przed wichrem.

Pan Wołodyjowski był to żołnierz z krwi i kości, żołnierz z zawodu, więc bliskość wojny budziła w nim głód na krew nieprzyjacielską i jednocześnie wracała mu spokój.

Pan Zagłoba, jakkolwiek z wielkimi niebezpieczeństwami przez długie życie niezmiernie już otrząskany, mniej jednak był spokojny. W nagłych razach umiał on znaleźć odwagę i znacznych w życiu przewag dokonał, zawsze jednak pierwsza wieść o wojennej grozie czyniła na nim wielkie wrażenie. Lecz gdy mały rycerz wyłożył mu swój sposób widzenia, nabrał i on lepszej otuchy, a nawet począł wyzywać wszystkich Turków i odgrażać się na nich.

— Gdy chrześcijańskie ludy ze sobą wojują—mó-

wił—i Pan Jezus smutny i wszyscy święci frasobliwi; ale kto Turka bije, nie może miłszej rzeczy Bogu uczynić.

— Pewnie, że tak musi być—odrzekł mały rycerz.— Tylko że potęga turecka niezmierna, a nasze wojska w przygarść możnaby zebrać.

— Przecie całej Rzeczypospolitej nie zwojują. Mało to miał potęgi Karol Gustaw; pod te czasy była wojna i z Kozaki i z Siedmiogrodem i z Brandeburgią, a dziś gdzie oni? Jeszcześmy do ich domowych pieleszy ogień i miecz ponieśli...

— Prawda jest—odrzekł Wołodyjowski.— Miły Boże! nie dla siebie ja się tej wojny boję, ale mi o te ziemie chodzi, które wraz z Kamieńcem snadnie w ręce nieprzyjacielskie wpaść mogą. Najważniejsza to rzecz, żeby Kamieniec się oparł, bo to jedyna potężna od tej strony twierdza i póki jej nie zgryzą, to i dalej ruszyć nie będą mogli.

— A jak myślisz, Michale: zgryzą ją oni, czyli nie?

— Myślę, że pan generał podolski nie opatrzył go należycie, a mieszczanie, ubezpieczeni tem, że na skale siedzą, nie uczynili tego, co powinni. Mówili mi, że przyszły tam regimenty księdza biskupa Trzebieckiego bardzo moderowane. Dla Boga! oparliśmy się pod Zbarażem, tylko za lichym wałem, równie wielkiej przemocy, powinniśmy się oprzeć i teraz, boć to orłowe gniazdo ten Kamieniec...

— Ha! orłowe gniazdo, ale nie wiadomo, czy się orzeł w niem znajdzie, jako był Wiśniowiecki w Zbarażu, czy jeno wrona? Znasz-li generała podolskiego?

— Mężny pan i dobry żołnierz, ale trocha niedbaly. Łyczkowie kamienieccy także się wielce obłączenia

boją, bo w czasie oblężenia handel stoi. Woleliby oni i do Turków należeć, byle sklepów nie zamykać.

— Szelmy!—rzekł Zagłoba.

I obaj z małym rycerzem zakłopotali się srodze przyszłym losem Kamieńca. Przytem chodziło im też bardzo i o Basię, która pewnie z mężem do Kamieńca iśćby chciała, a przyjaciel to był tak swojemu Michałowi wierny, że ani myśleć, żeby się dała do rozstania namówić.

— Wiesz co, Michale — zawołał nagle pan Zagłoba—a po co nam do tego nieszczęsnego Kamieńca chodzić i w nim się zamykać? Nie lepiej ci to przy hetmanie zostać i z nim w polu przeciw nieprzyjacielowi walczyć? A w takim razie Baśka przecie do chorągwi się nie zaciągnie i musi gdzieś odjechać, ale nie do Kamieńca, jeno gdzieś daleko, chociażby do Skrzetuskich. Michale! Bóg patrzy w moje serce i widzi, jaką mam przeciw poganom żądzę, ale już dla ciebie i dla Baśki to uczynię, że ją odwiozę.

— Dziękuję waćpanu—odrzekł mały rycerz.— Już ci, żebym ja nie miał być w Kamieńcu, nie napierałaby się tam i Baśka, ale co robić, jak rozkaz od hetmana przyjdzie?

— Co robić, jak rozkaz przyjdzie?... Bodaj kaduk porwał wszystkie rozkazy!... Co robić?... Czekaj! Ot co robić!... trzeba rozkaz uprzedzić!

— Jakże to?

— Napisz zaraz do pana hetmana Sobieskiego, że podczas nadchoźącej wojny chciałbyś przy jego osobie zostawać i w polu czynić. Na rany Boskiel to jest arcyprzednia myśl! bo najprzód i to jest niepodobne, żeby takiego zagończyka, jak ty jesteś, za murem zamykano,

zamiast go w polu zażywać, a powtóre będzie i on przy sobie potrzebował wiernych żołnierzy... Nie bój się! hetman cię generałowi nie odda. Prędzejby kogo innego oddał, ale ciebie i mnie nie odda! Pisz list! Ha! wart mój dowcip jeszcze czego lepszego, niż żeby go kury na śmieciach dziobały! Michale! napijmy się przy tej okazji!

Wołodyjowski uradował się istotnie bardzo; uścił pana Zagłobę i, pomyślawszy chwilę, rzekł:

— I ani Pana Boga, ani ojczyzny, ani hetmana przytem nie oszukam, bo pewnie że w polu siła będę mógł dokazać. Dziękuję waści z serca! Tak i ja myślę, że hetman zechce mnie mieć pod ręką. Ale żeby i Kamieńca nie zaniechać, wiesz waćpan, co uczynię? Oto przygarść piechoty swoim kosztem wystawię i Kamieńcowi pošlę. Zaraz do hetmana o tem napiszę.

— Jeszcze lepiej! Ale, Michał, skądże ludzi weźmiesz?

— Mam w piwnicach ze czterdziestu zbójców, tych wezmę. Baśka (że to ile razy kogo chciałem powiesić, zawsze mnie molestowała, bym go darował zdrowiem) nieraz mi już radziła, żebym ze zbójców żołnierzy uczynił. Nie chciałem, bo trzeba było przykładu. Ale teraz wojna i wszystko można. Chłopy to okrutne, którzy już proch wachali. Rozgłoszę przytem, że kto dobrowolnie do regimentu z jarów się stawi, będzie miał dawne zbójckie uczynki darowane. Zbierze się ze sto ludzi... Baśka też będzie kontenta. Wielki ciężar waćpan zdjąłeś mi z serca!...

I tego samego dnia mały rycerz wyprawił nowego posłańca do hetmana, zbójcom zaś ogłosił łaskę i darowa-

nie życia, jeśli do piechoty się zaciągną. Ci przystali radośnie i obiecali innych pociągnąć.

Sprowadzono krawców z Uszycy, z Kamieńca i skąd można było dla szycia barwy. Dawni zbóje musztrowali się na chreptiowskim majdanie, pan Wołodyjowski zaś radował się w sercu na myśl, że sam w polu przeciw nieprzyjacielowi będzie czynił, zony na niebezpieczeństwo oblężenia nie narazi, a przecie Kamieńcowi i ojczyźnie znaczną przysługę odda.

I owe roboty trwały już przez kilka tygodni, gdy pewnego wieczora wrócił posłaniec z listem od hetmana Sobieskiego.

Hetman pisał co następuje:

„Mój kochany i wielce mi miły Wołodyjowski!

„Że mi tak pilno wszystkie nowiny przysyłasz, za to i jać wdzięczność dochowam i Rzeczpospolita wdzięczna ci być powinna. Wojna pewna. Mam i skądinąd wieści, że na Kuczunkaurach stoi potęga okrutna; z Tatarami będzie na trzysta tysięcy. Tatarzy ruszą lada chwila. O nie tak-sułtanowi nie chodzi, jako o Kamieniec. Co się tyczy tego, abyś i ty przy mnie był, Bóg widzi, jakobym rad, ale nie może to być, bo mi o ową opokę kamieniecką, jako o źrenicę oka, chodzi. Będzie tam siła ludzi, którzy raz albo dwa razy w życiu wojny zaznali, ale człowieka, któryby jej jako chleba powszedniego zażywał i doświadczoną radą mógł służyć—zbraknie, albo jeśli będą tacy, to bez należytej powagi. Przeto ja ciebie tam posyłam. Niebezpieczna to może być ta służba w Kamieńcu, wszelako my już do tego przywykli, że na owym deszczu mokniem, przed którym inni się chowają. Nam dość nagrody w sławie i wdzięcznej pamięci, ale główna rzecz Rzeczpospolita, do której ratowania namawiać cię nie potrzebuję.“

List ten, czytany w gronie oficerów, wielkie uczynił wrażenie, bo wszyscy oni woleliby służyć w polu, niżli w twierdzy. Wołodyjowski schylił głowę.

— Co myślisz, Michale?— spytał Zagłoba.

Ów zaś podniósł twarz już uspokojoną i odrzekł równie spokojnym głosem, jakby żadnego zawodu w nadziejach nie doznał:

— Co mam myśleć?... Pójdziem do Kamieńca.

I mogło się zdawać, że nic innego nigdy nie powstało mu w głowie.

Po chwili jednak ruszył wąsikami i rzekł:

— Hej! towarzysze mili, pójdziemy do Kamieńca, ale go nie damy, chyba, że sami polegniem!

— Chyba, że polegniem!— powtórzyli oficerowie.— Raz człeku śmierć.

Pan Zagłoba milczał czas jakiś, wodząc oczyma po obecnych, i widząc, że wszyscy czekają na to, co chce powiedzieć, nagle odsapnął i rzekł:

— Idę z wami. Niech dyabeł porwie!

ROZDZIAŁ V.

Gdy ziemia obeschła i pobujniały trawy, ruszył chan własną osobą w pięćdziesiąt tysięcy ordy ku granicom Rzeczypospolitej.

Drugie, większe znacznie siły tureckie gromadziły się pod Adryanopolem, a przeciw tej powodzi sterczała jedna kamieniecka opoka. Zresztą cały kraj leżał jak step otwarty, albo jak człowiek chory, niemocen powstać na nogi. Wyczerpały go poprzednie, choć przy końcu zwycięskie wojny szwedzkie, pruskie, kozackie, węgierskie. Próżno wielki hetman Sobieski ostrzegał przed zatraceniem, nikt w wojnę wierzyć nie chciał; nie przygotowano środków obrony, więc skarb nie miał pieniędzy, a hetman wojsk. Przeciwno tej potędze, którejby zaledwie wojska całego chrześcijańskiego świata sprostać mogły, zdolen był hetman wystawić zaledwie kilka tysięcy ludzi.

A w Turcyi działo się inaczej. Tam, gdy tylko rozwinięto wielką chorągiew i poczęto głosić wojnę przeciw chrześcijaństwu, wnet ruszyło się pół Azji i cała północ

Afryki. Sam padyszach stanął o wiośnie na Kuczunkauryjskiem błoniu i jął zgromadzać niewidzianą oddawna w świecie potęgę. Sto tysięcy spahów i janczarów, wyboru tureckiego wojska, stanęło przy jego osobie, a potem zaczęły ściągać wojska ze wszystkich najdalszych krajów i posiadłości. Którzy zamieszkiwali Europę, ci stanęli najwcześniej. Przyszły zastępy konnych begów bośniackich, barwą do zorzy, furią do błyskawicy podobnych; przyszli dzicy wojownicy albańscy, handżarami piechotą walczący; przyszły watahy poturczeńców serbskich, nadciągnął lud, który nad brzegami Dunaju zamieszkiwał i niżej, z tamtej strony Bałkanów i jeszcze niżej, aż od gór greckich. Każdy basza wiódł armię całą, która sama jedna zdolnaby była zalać bezbronną Rzeczpospolitą. Przyszli Wołochowie i Multańczycy, stanęli w sile Tatarzy i kilka tysięcy Lipków i Czereemisów.

Potem zaś jęło płynąć pospolite ruszenie z Azji. Stanęli na wezwanie i Arabowie, których białe burnusy pokryły, jakoby śniegiem, Kuczunkauryjskie błonie; byli między nimi i koczownicy z pustyni piaszczystych i mieszkańcy miast. Nie została w domowych pieleszach i hol-downicza egipska potęga. I wszyscy ci tkwili teraz na adryanopolskiej grudzi, modląc się co wieczora o zwycięstwo dla wyznawców Mahometa, a o zagładę dla tej krainy, co sama jedna zasłaniała od wieków przed niewiernymi resztę chrześcijańskiego świata.

Były krocie zbrojnego ludu, setki tysięcy koni rżaly na błoniu, setki tysięcy bawołów, owiec i wielbłądów pasły się obok stad końskich. Można było myśleć, że to z rozkazu Bożego anioł wypędził ludy z Azji i kazał im iść w stronę, w której słońce bledsze i step śniegiem się

zimą pokrywa. Więc szli wraz ze stadami mrowiem nieprzebranem, biali, ciemni i czarni wojownicy. Szło dwieście dział, z tych dziesięć „burzących,” tak wielkich, jakich żaden król chrześcijański nie posiadał. Wojownicy azyatyccy stali na prawem skrzydle, europejscy na lewym. Namioty zajmowały tak wielką przestrzeń, że wobec nich cały Adryanopol wydawał się małym miastem. Same sułtańskie, lśniące od purpury, jedwabnych sznurów, atlasów i złotych haftów, stanowiły jakoby osobne miasto.

Cały ten obóz stał już od kilku miesięcy, czekając aż się potęga uzupełni przybywającymi z najdalszych stron tureckiego władztwa zastępami i aż słońce wiosenne, wyssawszy wilgoć z ziemi, ułatwi dalszy pochód.

Słońce zaś, jakoby także woli Sułtana podległe, świeciło pogodnie. Od początku kwietnia do maja zaledwie kilka razy deszcze ciepłe zrosiły Kuczunkauryjskie błonie, zresztą nad namiotem sułtana zwieszał się błękitny „Boży namiot,” bez chmurki. Blaski dzienne grały na białych płótnach, na różnobarwnych płaszczach, na ostrzach hełmów, chorągwi i dziryków, zatapiając wszystko—i obóz i namioty i ludzi i stada—w morzu jasnego światła. Wieczorem na pogodnym niebie połykiwał sierp księżycy, potem wybijał się coraz wyżej na niebo i bladł przy łunie ognisk. Lecz gdy one rozbłysły na tej całej niezmiernej przestrzeni, gdy pozapalano zielone, czerwone, żółte i błękitne lampy wedle sułtańskich namiotów, zdawać się mogło, że to szmat nieba upadł na ziemię i że to gwiazdy tak się mienia i migoczą na błoniu.

Lecz słońce grzało coraz silniej i nadeszły wreszcie dni znojne. Więc pewnego wieczora zaciągnięto chorągiew na wysoki maszt przed namiotem sułtańskim i wy-

strzał z działa zwiastował wojskom i ludom, że pochód się rozpoczyna. Zahuczał wielki bęben, huknęły wszystkie inne, ozwały się przeraźliwymi głosami piszczałki, i rzeka ruszyła pod noc, dla uniknięcia słonecznego skwaru.

Sułtan wyjechał na wzgórze, aby całą swoją potęgę okiem objąć i widokiem jej się nacieszyć. Noc była pogodna i widna; księżyc świecił bardzo jasno i mógłby sułtan objąć okiem wszystkie swoje zastępy, gdyby nie to, że żadne oko ludzkie nie zdołałoby ich naraz ogarnąć, bo rozciągnąwszy się w pochodzie, choć idąc dość ciasno, kilka mil zajmowały.

ROZDZIAŁ VI.

A w Chreptiowie tymczasem robiło się coraz ciszej i puściej. Wołodyjowski pociągnął już z panem Motowidlą przeciw krymskiej ordzie i Doroszeńce. Tam nową sławę do dawnej dodając, wielkich przewag dokonał. Pani Wołodyjowska zaś z resztą ludzi i taborem zbierała się już do Kamieńca, gdzie na męża czekać miała, bo Chreptiów trzeba już było wobec nawałności zostawić.

Z żalem wyjeżdżała ona z tej drewnianej fortalicji, w której najszcęśliwsza pora jej życia spłynęła—przy mężu, wśród sławnych żołnierzy i wśród serc kochających. Teraz, na własne prośby, miała wyjechać do Kamieńca, na nieznanne losy i niebezpieczeństwa, jakimi oblężenie groziło.

Lecz serce mężne mając, nie poddawała się ona żalowi, natomiast pilnie doglądała przygotowań, czuwając nad żołnierzami i taborem. Pomagali jej w tem: pan Zagłoba, który w każdej przygodzie rozumem wszystkich przenościł, oraz pan Muszalski, lucznik niezrównany,

a przytem żołnierz dzielnej ręki i niepomiernego doświadczenia.

Ukończono wreszcie przygotowania i nadszedł dzień, w którym ruszyli wszyscy do Kamieńca.

Basia, wyjechawszy za kołowrót, długo, długo jeszcze oglądała się na fortalicję, błyszczącą w świetle zorzy wieczornej, wreszcie przeżegnawszy ją krzyżem świętym, rzekła:

— Bodaj nam przyszło jeszcze wrócić do cię z Michałem, miły Chreptiowie!.. Bodaj nas nic gorszego nie czekało!..

I duże łzy stoczyły się po jej różanej twarzy. Smutek jakiś dziwny ścisnął wszystkich serca—i jechali dalej w milczeniu.

Tymczasem zapadł mrok. Do Kamieńca jechali wolno, bo tabor posuwał się powoli. Szły z nim wozy, stada koni, woły, bawoły, wielbłądy; czeladź wojskowa czuwała nad stadami. Szło również dwieście piechoty, który to oddział mały rycerz własnym kosztem wystawił i wyćwiczył. Basia nadzwyczaj kochała tę piechotę, jako Michałowe dziecko, a i w ich sercach prędko zrodziło się przywiązanie do cudnej i dobrej pani. Teraz więc szli naokół jej kolaski, z samopałami na ramionach, szablami przy bokach, gotowi bronić jej zaciekle, na wypadek gdyby jaki czambuł zabiegł im drogę.

Lecz droga była jeszcze wolna, więc podróż odbywała się spokojnie. Wyjechawszy po południu z Chreptiowa, jechali do wieczora, następnie całą noc—i drugiego dnia, również po południu, ujrzeni już wyniosłe skały kamienieckie.

Na ich widok, a także na widok baszt i rondeli fortecznych, zdobiących szczyty skał, wielka otucha wstą-

piła im zaraz do serca. Albowiem wydawało się niepodobnem, aby jaka inna ręka, prócz Boskiej, mogła zburzyć to orle gniazdo, na szczycie otoczonych rzeką skał uwite. Dzień był letni, cudny; wieże kościołów, wyglądające z po za skał, świeciły jak olbrzymie świece; spokój, pogoda i wesołość unosiły się nad jasną krainą.

— Baśka!—rzekł Zagłoba—nieraz już poganie gryźli te mury, i zawsze połamali sobie na nich zęby! Ha! ile razy sam widziałem, jak umykali stąd, trzymając się za pyski, bo ich bolały. Da Pan Bóg, że i teraz tak będzie!

— Pewnie, że tak!—odpowiedziała rozpromieniona Baśka.

— A to przecie był tu już jeden ich cesarz, Osman. Było to, pamiętam jak dziś, w roku 1621. Przyjeżdża, jucha, owo właśnie, z tamtej strony Smotrycza, od Chocimia; wybałuszył ślepie, otworzył gębę, patrzy, patrzy—i wreszcie pyta: „A tę twierdzę (powiada) kto tak obwarował?“—„Pan Bóg“—odpowiedzą mu.—„To niechże ją Pan Bóg zdobywa, bo ja nie głupi!“ I zaraz się wrócił.

— Ba, prędko nawet wracali! — wtrącił pan Muszalski.

— Wracali prędko—odrzekł pan Zagłoba—bośmy ich kopiami w słabiznę ekscytowali, a mnie potem rycerstwo na rękach przed pana Lubomirskiego przyniosło.

— Toś waćpan był pod Chocimem?—spytał łucznik niezrównany. — Wierzyć mi się nie chce, jak pomyszę, gdzieś waćpan nie był i czegoś nie dokazał!

Pan Zagłoba uraził się nieco i odrzekł:

— Nietylkom był, alem i ranę otrzymał, którą waćpanu, jeśliś tak ciekaw, zaraz sprezentować mogę, ale na

stronie, bo wobec pani Wołodyjowskiej chlubić mi się tem nie wypada.

Słynny łucznik wnet poznał, iż z niego zadrwiono, że jednak nie czuł się na siłach iść o lepsze z panem Zagłobą, więc nie dopytywał się więcej i zwrócił rozmowę.

— To, co waćpaństwo mówicie, to prawda — rzekł, — jak człek zdaleka i słyszy ludzkie gadania: „Kamieniec nie opatrzon, Kamieniec upadnie“ — to i strach bierze, a jak Kamieniec zobaczy, dalibóg otucha wstępuje.

— I jeszcze Michał będzie w Kamieńcu! — zawołała Basia.

— I pan Sobieski może pomoc przysłać!

— Chwała Bogu! nie tak źle z nami! nie tak źle! Ha! gorzej bywało a nie daliśmy się!

— Choćby też i najgorzej było, rzecz w tem, żeby fantazyi nie tracić! Nie zjedli nas i nie zjedzą, póki duch żywie! — zakończył pan Zagłoba.

I pod wpływem tych radosnych myśli zamilkli wszyscy.

W Kamieńcu wrzały przygotowania do obrony. Na murach w starym zamku i przy bramach, szczególnie przy bramie Ruskiej, pracowała ludność, miasto zamieszkująca, pod swymi wójtami, między którymi wójt Tomaszewicz pierwsze brał miejsce, a to dla swej mocnej odwagi i wielkiej biegłości w strzelaniu z dział. Tymczasem pracowano łopatami i taczkami, a Lachowie, Ormianie, Żydzi i Cyganie, szli ze sobą w zawody. Przykład dawał sam pan Wojciech Humiecki, chorąży podolski, którego widok aż lzy wyciskał, bo własnymi rękoma kamienie taczka woził. Robota wrzała i w mieście i w zamku. Między tłumami kręcili się Dominikanie, Je-

zuici, braciszczowie św. Franciszka i Karmelici, błogosławiąc wysiłki ludzkie. Niewiasty donosiły żywność i trunki pracującym.

Lecz uwaga tłumów najbardziej zwróciła się na wjazd Basi. Było zapewne wiele dostojniejszych niewiast w Kamieńcu, lecz nie było żadnej, którejby męża okrywała większa sława wojenna. Przytem poglądano z ogromnym podziwem na niezwykłą chreptiowską komendę, na dragonów i na groźne twarze opryszków, przerobionych w żołnierzy. I zaraz serca przybyło mieszczanom. „Toć siła niepowszednia, ci Turkom śmiećle zajrzą w oczy!“ — wołano w tłumach. Niektórzy z mieszczan, a nawet i z żołnierzy myśleli, że i sam pan Wołodyjowski znajduje się w orszaku, wnet też podniosły się okrzyki:

— Niech żyje pan Wołodyjowski!

— Niech żyje obrońca nasz! Najsławniejszy kawaler!

— Wiwat Wołodyjowski! wiwat!

Basia słuchała i serce jej rosło. „Tylu tu rycerzy — myślała — a przecie żadnemu nie krzyczą, jeno memu Michałowi!“ I sama miała ochotę zakrzyknąć z chórem: „Wiwat Wołodyjowski!“ A pan Zagłoba wychylał się z kolaski, kłaniał się to czapką, to ręką, a gdy znajomi, ujrawszy go, i na jego cześć poczęli wiwatować, wówczas ozwał się do tłumów:

— Mości panowie! Kto Zbaraż wytrzymał, wytrzyma i w Kamieńcu.

Wedle rozporządzenia Wołodyjowskiego, orszak zajęchał przed klasztor Dominikanek. Miałci mały rycerz swój własny dworek w Kamieńcu, ale że klasztor stał w zacisznym miejscu, do którego z trudnością kule dzia-

łowe dosięgnąć mogły, wolał więc tam Baszę umieścić. Przyjęto ją też tutaj z otwartymi rękoma, raz jako żonę człowieka, o którym i zakonnice wiedziały, że będzie głównym obrońcą Kamięcia; powtóre, że zastała tu już dużo niewiast, też żon rycerzy, które o mężów swoich od niej wiadomości czekały. Między temi były dwie jej krewne: ciotka Basi, kochana bardzo, pani Makowiecka i Krzysia Ketlingowa, żona serdecznego Wołodyjowskiego przyjaciela i nad innych dzielnego żołnierza.

Obstąpiono tedy Baszę i zarzucono pytaniami. Co myśli o nawałości tureckiej? Czy wedle jej opinii Kamieniec utrzymać się zdoła? Czy reszta spodziewanych wojsk prędko do fortecy ściągnie?

Basia z radością wielką spostrzegła, że poczytują ją za jakąś powagę wojenną i wyglądają z jej ust pociechy. Więc jej też nie skąpiła: „Ani mowy o tem nie masz—rzekła—byśmy się Turczynowi obronić nie zdołali. Michał tu przyjedzie dziś, jutro, najdalej za parę dni, a jak on się zajmie obroną, możecie waćpanie spać spokojnie, ile że i forteca okrutna!“

Pewność Basi wlała otuchę w niewieście serca, a zwłaszcza uspokoiła je obietnica przyjazdu Wołodyjowskiego.

Dalszą zaś rozmowę przerwał pacholek, który przyszedł z doniesieniem, że w mieście znów gwar okrutny, bo wjeżdża pan generał podolski, Mikołaj Potocki, z dworem dość znacznym i kilkudziesięciu piechoty.

— Do niego komenda należy—rzekł Zagłoba.—To już i Turcy muszą być niedaleko, kiedy pan Potocki zjeżdża. W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! Bodaj pan generał był drugim Jeremim, a Kamieniec drugim Zbarażem!

— Musi tak być, albo pierwej zginiem!—zakrzyknął jakiś głos od proga.

Basia skoczyła na dźwięk tego głosu i krzyknęwszy: „Michał!“ — rzuciła się małemu rycerzowi w ramiona.

Pan Wołodyjowski przywiózł z pola wiele ważnych nowin, które zaraz na drugi dzień przed radą wojenną u księdza biskupa Lanckorońskiego oznajmił. Do rady, oprócz księdza biskupa, należał generał podolski Potocki, w którego ręku spoczywała główna komenda, pan podkomorzy podolski Lanckoroński, pan pisarz podolski Rzewuski, pan chorąży Humiecki, Ketling, pan Makowiecki, major Kwasibrocki i kilku innych wojskowych. Nie podobało się to panu Wołodyjowskiemu, że pan generał podolski oświadczył, że komendy nie chce na się brać, ale ją radzie powierza. „W nagłych razach musi być jedna wola i jedna głowa!—rzekł mały rycerz.—Pod Zbarażem było trzech regimentarzy, którym z urzędu należała się władza, a przecie oddali ją księciu Jeremiemu Wiśniowieckiemu, słusznie sądząc, iż w niebezpieczeństwie najlepiej jednego słuchać!“

Ale słowa te nie przydały się na nic. Pan Potocki bał się brać na siebie całej odpowiedzialności, bo nie czuł się na siłach zadaniu podołać, a i inne głosy za nim odzywać się poczęły. Wreszcie ktoś rzekł, że dobrze byłoby może z Turczyńnem układów spróbować. Gdy wyraz ten został wymówiony, porwali się żołnierze z siedzeń, jak ogniem sparzeni: pan Wołodyjowski, Ketling, Makowiecki, Kwasibrocki, Humiecki, Rzewuski, poczęli zgrzytać a szablami trzaskać. „Nie na układy my tu przyszli!“—poczęto wołać. Na to ten, który o układach wspomniał, wstał i rzekł wielkim głosem: „Na miły Bóg!

waszmościowie, pierwszybym gotów dać gardło za ojczyznę i za wiarę naszą, a jeśli o układach wspomina, to niech mnie Bóg sędzi, nie dlatego, by twierdzę poddać, jeno żeby hetmanowi dać czas do zebrania posiłków. Straszne jest poganom imię pana Sobieskiego i choćby słusznych sił nie miał, niech jeno rozgłos się rozlegnie, że idzie—wnet Turczyn Kamieńca poniecha.“ A gdy tak przemówił, umilkli wszyscy, lecz została im w sercach trwoga przed tą radą, na której pierwszym zebraniu już wyraz „układy“ wymówiony został.

Znać nie było w tych mężach silnej wiary w możność obrony i tyle rycerskiego ducha, ile go teraz właśnie ojczyzna od synów swoich potrzebowała.

Po krótkiej chwili milczenia Wołodyjowski rzekł:

— Nieprzyjacieli, nim Kamieniec oblegnie, musi wprzód Żwaniec pokruszyć, bo mu nijak obronny zamek za plecami sobie zostawić. Owóż ja się podejmuję w Żwańcu zamknąć i trzymać się właśnie przez tyle czasu, ile-by go układami zyskać można. Ludzi wiernych wezmę i póki będzie mego życia, póty będzie i Żwańca!

Na to krzyknęli wszyscy:

— Nie może być! Tyś tu potrzebny! Bez ciebie i mieszczaństwo ducha utraci i żołnierze z taką ochotą stawać nie będą. Żadną miarą nie może to być! Kto tu ma więcej doświadczenia? Kto Zbaraż odbył? A jak do wycieczki przyjdzie, kto poprowadzi? Ty zgorzejesz w Żwańcu, a my tu zgorzejemy bez ciebie!

— Do Żwańca młodego-by jakiego rezoluta wysłać—ozwał się inny głos.

— Przedewszystkiem radźmy, gdzie kto stanie i której bramy bronić?—ozwał się ksiądz biskup.

Wszystkich oczy zwróciły się na pana Potockiego, ów zaś rzekł:

— Zanim rozkazy wydam, rad zdania doświadczonych żołnierzy posłucham, że zaś doświadczeniem wojennym pan Wołodyjowski tu góruje, jego pierwszego do głosu wzywam.

Wołodyjowski radził przedewszystkiem zamki, pod miastem leżące, dobrze opatrzyć, bo mniemał, że głównie na owe zamki zwróci się impet nieprzyjacielski. Inni poszli za jego mniemaniem. Było tysiąc sześćdziesiąt piechoty, którą rozdzielono w taki sposób, iż prawą stronę zamku osadził pan Myśliszewski, lewą pan Humiecki, sławny ze swoich przewag pod Chocimiem. Od Chocimia, w miejscu najniebezpieczniejszem, stanął sam pan Wołodyjowski; stronę od Zinkowic osłaniał major Kwasibrocki, południe pan Wąsowicz, a bok od dworca kapitan Bukar. Byli to wszystko nie ochotnicy jacyś, ale żołnierze z zawodu, wyborni i w boju tak wytrzymali, że nie łatwiej imi znosili upał słoneczny, niż oni ogień z dział.

Ogólny nadzór nad artylerją zamkową miał Ketting, który biegłością w kierowaniu armat wszystkich przewyższał. Komenda główna w zamku miała być przy małym rycerzu, któremu zaraz pan generał podolski pozostawił wolność czynienia wycieczek, ilekroć zdarzy się potrzeba i sposobność.

Owi zasię, dowiedziawszy się, gdzie który będzie stał, uradowali się w sercach i krzyk znaczny podjąwszy, oraz trzaskanie rapierami uczyniwszy, tym sposobem swoją ochotę okazali.

Słyszając to, i inni fantazyi nabrali i już raźniej radzili o obronie samego miasta, co gdy ukończono, pan

Wołodyjowski jeszcze głos zabrał. Mówił on, że szczerze służyć zamierza i w tym celu ślubem w kościele związać się zamierza, zaczem prosi księdza biskupa, aby mu to jutro uczynić było niewzbronno. Ksiądz biskup, widząc, iż z tego ślubu pożytek publiczny wyrosnąć może, przyrzekł chętnie.

Nazajutrz wielkie było w katedrze nabożeństwo. Słuchali go w skupieniu i podniosłości ducha rycerze, szlachta, żołnierze i lud. Pan Wołodyjowski z Ketlingiem leżeli krzyżem przed ołtarzem; Krzysia i Basia klęczały, płacząc, bo wiedziały, że ślub ów na niebezpieczeństwo życie ich mężów podać może. Po ukończeniu mszy, ksiądz biskup zwrócił się do ludu z drzewem krzyża świętego; wówczas mały rycerz wstał i klękawszy na stopniach ołtarza, tak rzekł wzruszonym, choć spokojnym głosem:

— Za osobliwsze dobrodziejstwa i szczególniejszą opiekę, jakiej od Pana Boga najwyższego i Syna jego jedynego całe życie doznawałem, do również szczególniejszej poczuwając się wdzięczności, ślubuję i przysięgam, iż jako On i Syn jego mnie wspomagali, tako i ja do ostatniego tchu Krzyża świętego będę bronił. A mając komendę starego zamku sobie powierzoną, pókim żyw i rękoma i nogami ruchać mogąc, pogańskiego nieprzyjaciela do zamku nie puszcze, ni z murów nie ustąpię, ni szmaty białej nie zatknę, choćby mi też pod gruzami pogrzebać się przyszło... Tak mi dopomóż Bóg i święty Krzyż—Amen!

Cisza uroczysta nastąpiła w kościele, poczem dał się słyszeć głos Ketlinga:

— Ślubuję—rzekł ów—za szczególne dobrodziejstwa, których w tej ojczyźnie doznałem, do ostatniej

kropki krwi zamku bronić i pierwszej się pod gruzami jego pogrześć, zanimby noga nieprzyjaciela miała w jego mury wstąpić. A jako ze szczerego serca i szczerzej wdzięczności przysięgę tę składam, tak mi dopomóż Bóg i święty Krzyż—Amen!

Tu ksiądz pochylił relikwiarz i dał go do ucałowania najprzód panu Wołodyjowskiemu, potem Ketlingowi. Na ów widok liczni rycerze uczynili gwar w kościele. Rozległy się głosy: „Wszystcy przysięgamy!“ „Jeden na drugim polegniem!“ „Nie upadnie ta twierdza!“ „Przysięgamy! przysięgamy!“ „Amen! amen! amen!“ Szable i rapiery wyszły ze zgrzytem z pochew i w kościele zrobiło się jasno od stali. Blask ów rozświetlił groźne twarze, rozpalone oczy, i zapal wielki, niewypowiedziany ogarnął żołnierzy i lud. Wtem uderzono we wszystkie dzwony, huknął organ, ksiądz biskup zaintonował: „Pod Twoją obronę“—a setki głosów zabrzmiały w odpowiedzi—i tak modlono się za twierdzę, która była strażnicą chrześcijaństwa i kluczem Rzeczypospolitej.

Po ukończeniu nabożeństwa, Ketling z Wołodyjowskim wyszli z kościoła, trzymając się pod ręce. Żegnano i błogosławiono ich po drodze, bo nikt nie wątpił, że pierwszej polegną, nim zamek oddadzą. Ale nie śmierć, jedno zwycięstwo i sława zdawały się nad nimi unosić—i prawdopodobnie, wśród tych wszystkich tłumów oni jedni wiedzieli, jak straszną związali się przysięgą. Może także przeczuwały zagładę, jaka zawisła nad ich głowami, dwa kochające serca, bo ni Krzysia, ni Basia, nie mogły się uspokoić, a gdy wreszcie Wołodyjowski znalazł się w klasztorze przy żonie, ta, zanosząc się i lkaając, jak małe dziecko, przytuliła się do jego piersi i tak rzekła przerywanym głosem:

— Pamiętaj... Michałku... że... broń Boże na ciebie nieszczęścia... ja... nie wiem... co... się... zemną... stanie!..

I poczęła się trząść z uniesienia; mały rycerz wzruszon był także bardzo. Zrazu i przemówić nic nie mógł, wreszcie rzekł:

— A no, Baśka... trzeba było, no!.. trzeba—i cała rzecz!.. Bogu, Baśka, ufajmy!.. Bogu ufajmy!..

ROZDZIAŁ VII.

*T*egoż jeszcze dnia pan Wołodyjowski wyjechał z chorągwią na pomoc panu Wasilkowskiemu, który ku Hryńczukowi skoczył, bo przyszła wieść, że tam Tatarowie wpadli, ludzi krępując, bydło biorąc, ale wsi, dla niepoznaki, nie paląc. Pan Wasilkowski wnet ich rozgromił, jassyr odebrał i jeńców wziął. Nad wieczorem podjazdy wróciły zadowolone z tego pierwszego spotkania, pełne dobrej myśli i dobrej na przyszłość nadziei.

Tymczasem pan Wołodyjowski odebrał sekretną wiadomość, że już drugiego dnia cesarz turecki w Chocimiu (to jest po drugiej stronie Dniestru, naprzeciw Kamieńca) z całą potęgą spodziewan.

Wieść, lubo spodziewano się jej każdej godziny, wielkie uczyniła wrażenie. Zdwojono gorliwość przy robotach miejskich, a pan Hieronim Lanckoroński ruszył bez zwłoki do swojego Żwańca, by stamtąd na Chocim mieć oko.

Czas jakiś upłynął na oczekiwaniu, nakoniec dnia

drugiego sierpnia sułtan stanął pod Chocimiem. Rozlały się pulki, jak morze bezbrzeżne—i na widok ostatniego grodu, leżącego w granicach władzy sułtana, okrzyk: „Allah! Allah!“ wydarł się z setek tysięcy gardzieli. Po drugiej stronie Dniestru leżała prawie bezbronna Rzeczpospolita, którą te niezmierne wojska miały zalać, jak powódź, lub pożreć, jak płomień.

Dzień był piękny i kończył się pogodnie. Po ostatnich wieczornych modlitwach, obóz począł odpoczywać. Zablysły tysiące i setki tysięcy ognisk, na których migotanie spoglądano trwożnie z przeciwnego żwańskiego zameczku, bo tak były rozległe, że żołnierze, którzy chodzili na podjazd, mówili, że: „całe Multany w ogniskach.“ Lecz w miarę jak jasny miesiąc wytaczał się coraz wyżej na gwiaździste niebo, ogniska, prócz strażowych, gasły, obóz uciszał się i tylko wśród milczenia nocy rozlegało się rżenie koni i ryk bawołów, pasących się na błoniach.

Lecz nazajutrz, skoro świt, sułtan ordynował janczarów, Tatarów i Lipków, aby przeszli most i zajęli Żwaniec, tak miasteczko, jak i zamek.

Nie czekał ich mężny pan Lanckoroński za murami, lecz mając przy boku czterdziestu swoich nadwornych Tatarów i jedną własną chorągiew, uderzył na janczarów u przeprawy i zmieszał tę najprzedniejszą piechotę. Lecz równocześnie czambuł Tatarów, przepawiwszy się bokiem, wpadł do miasta. Dymy i krzyki ostrzegły mężnego pana Lanckorońskiego, że miasto już w rękach nieprzyjaciół, więc kazał się cofać od przeprawy, aby nieszczęsnym mieszkańcom przyjść w pomoc. Janczarowie, jako piechota, nie mogli go ścigać, on zaś biegł całym pędem na ratunek. I już dobiegał, gdy nagle, na-

dworni Tatarowie, cisnąwszy swe chorągwie, przeszli na stronę nieprzyjaciela. Nastąpiła chwila wielce niebezpieczna. Na szczęście reszta wojska, zachęcona przykładem wodza, stawiała dzielny opór i po krótkiej walce złamano Tatarów. W tej chwili nadbiegli janczarowie, którzy zdołali się przepawić. Widząc to, pan Lanckoroński wysłał do Kamieńca o posiłki i począł się cofać za mury, bo takiej sile nieprzyjaciół nie był w stanie skutecznego dać oporu.

Sułtan nie myślał tego dnia zdobywać żwańskiego zamku, mniemając słusznie, że go w mgnieniu oka, przy ogólnej wojsk przeprawie, pokruszy. Chciał tylko zająć miasto, nie paląc go, by ono w przyszłości za schronisko służyć mu mogło. Janczarowie więc rozsypali się wnet po domach, gospodarząc w nich szablą i kin-dzałem.

Tymczasem od strony Kamieńca ukazały się nadciągające posiłki. Pierwszy szedł pan Wasilkowski na czele chreptiowskiej załogi, za nim pan Wołodyjowski ze swymi dragonami. Dojrzał ich zamknięty już w zamczku pan Lanckoroński.

— Mości panowie—zakrzyknął—wskoczmy i my z za murów i z Bożą pomocą wyżeniem nieprzyjaciela nietylko z miasta, ale całkiem za wodę!

To rzekłszy, zbiegł, co duchu, na dół, by swoją chorągiew sprawić. Tymczasem w mieście pierwsi Tatarowie dojrżeli nadciągające chorągwie i krzycząc przeraźliwie, poczęli się zbierać w czambuł. Po wszystkich ulicach rozległ się odgłos bębnow i piszczałek; janczarowie stanęli wnet sfornie z całą tą szybkością, w jakiej mało która w świecie piechota mogła im dorównać.

Czambuł wyleciał, jakby wichrem wywiany, za mia-

sto i skoczył na lekką chorągiew pana Wasilkowskiego. Lecz ten kazał natychmiast wziąć ludziom impet największy i leciał jak trąba powietrzna, nie dbając na trzy razy większą liczbę nieprzyjaciół. Stropiła taka odwaga Tatarów, nie lubiących wogóle spotkania wręcz. Wnet też mimo krzyku dowódców, mimo przeraźliwego świstu piszczałek i bębna huczącego na zachętę do ścinania głów chrześcijańskich—poczęli konie zdzierać, hamować; widocznie mdlały w nich serca i ochota coraz bardziej, wreszcie na odległość strzelania z łuku przed chorągwią, rozbiegli się na dwie strony, wypuściwszy cęme strzał na pędzących jeźdźców.

Tymczasem janczarowie, nie wiedząc, jaka siła idzie na pomoc Żwańcowi, mieli się ku rzece. Jeden ich oddział, dwieście kilkadziesiąt koni liczący, był już u brzegu i pierwsze jego szeregi poczęły właśnie wstępować na promy; drugi oddział, równie silny, nadażał chyżo. W tej chwili dostrzegł ich pan Wołodyjowski i wsparty przez pana Lanckorońskiego, skoczył ku nim. Oddział janczarów, gdy ujrzał pędzącą jazdę, zatrzymał się i w jednem mgnieniu oka obrócił czoło ku nieprzyjacielowi. Rusznice pochylili się płotem i huknęła salwa jakoby na mustrze. Co więcej, zaciekli wojownicy nie pierzchli po strzale, ale ruszyli naprzód i uderzyli z furją szablami na jazdę. Było to zuchwalstwo, do którego jedni janczarowie byli zdolni, ale za które też przyplacili ciężko, bo jazda, nie mogąc, choćby chciała, powstrzymać koni, uderzyła na nich jak młotem i złamawszy w mig, rozniosła postrach i zgubę. Po krótkiej, lecz śmiertelnej walce, zepchnięto ku rzece resztki janczarów, którzy teraz bezładnie na promy pchać się poczęli. Lecz że promów było dość, a ludzi mniej wracało, niż przyszło, pomieścili

się szybko i snadnie. Wnet poruszyły się ciężkie wiosła i między janczarami a dragonami utworzyła się wodna przerwa, która rozszerzała się z każdą chwilą... Lecz z promów poczęły grzmieć janczarki, którym dragonia huknęła w odpowiedzi z bandoletów; dymy wznosiły się chmurą nad wodą, potem rozciągnęły się w długie szlaki. Promy, a z nimi janczarowie, oddalali się coraz bardziej. Dragoni, otrzymawszy pole, podnieśli srogi krzyk i wygrażając pięściami, poczęli wołać za odjeżdżającymi:

— A pójdziesz, psy niewierne! a pójdziesz!...

Pan Lanckoroński, który zdawna o panu Wołodyjowskim, jako o mistrzu słyszał, ale go jeszcze przy robocie nie widział, teraz, lubo kule jeszcze pluskały, tuż przy brzegu wziął w ramiona małego rycerza.

— Oczom nie wierzyłem—zakrzyknął—cuda to są prawdziwe! Mało jeszcze o waści mówiono, dla Boga! mało!

A pan Wołodyjowski, który rzeczywiście tego dnia, jako i zawsze, śmierć między nieprzyjacielem szerzył zawzięcie, odrzekł:

— Przyrodzona to sposobność jeno i wprawa, ot cała rzecz! Ile to się wojen odbyło! Mężna to piechota i idzie na dym, jak odyniec, ale przez pół tyle nie umie, ile szwedzka.

— Daliśmy im pamiątkę—rzekł pan Lanckoroński. Bóg łaskaw, że od tak znacznego zwycięstwa wojnę zaczynamy.

Lecz doświadczony pan Wołodyjowski innego był zdania.

— Małe to jest zwycięstwo, nieznaczne—odrzekł.—Dobre i to dla podniesienia ducha w ludziach nieoby-

tych z wojną i mieszkańcach, ale innego skutku mieć nie będzie.

— Zali waszmość myślisz, że w poganach fantazyja nie skruszeje?

— W poganach fantazyja nie skruszeje—rzekł Wołodyjowski.

Tak rozmawiając, dojechali do miasta, gdzie łyckowie oddali im dwóch żywcem wziętych janczarów, których też niebawem wzięto na spytki.

Turczyni zeznali, że sułtan jest własną osobą w Chocimiu, że nazajutrz ma się przeprowadzić część wojska z inżynierami dla kopania zasłon i nasypów pod armaty, a najdalej w dwóch dniach sułtan z całą potęgą pod Kamieńcem stanie.

Nie były to wszystko wiadomości nowe, więc też wrażenia nie zrobiły żadnego.

Pan Lanckoroński nawet, zachęcony powodzeniem, rzekł:

— Tak mi dobrze pod Żwaniec poszło, że radbym się w zamczku zamknąć, byłem miał pewność, że mi waszmość od czasu do czasu na pomoc z Kamieńca wyskoczysz.

— Mają dwieście armat—odrzekł Wołodyjowski,— a gdy dwie ciężkie armaty przeprowadzą, zamek ów dnia jednego nie wytrzyma. Sam chciałem się w nim zawrzeć, ale teraz, gdym go obejrzał, widzę, że to na nic.

Pan Lanckoroński począł się namyślać, ale zamysł jego przerwał pan Wasilkowski, który, wróciwszy z pola, wpadł śpiesznie do zamku.

— Mości panowie—rzekł—rzeki nie widać, bo cały Dniestr pod tratwami.

— Przeprowadzają się?—pytali wszyscy razem.

— Jako żywo! Turcy na tratwach, a czambuły wprost za ogonami.

Pan Lanckoroński nie wahał się dłużej, jeno natychmiast kazał topić stare haubice zamkowe; rzeczy zaś, co się dało, kryć lub wywozić do Kamieńca. Wołodyjowski zaś skoczył na koń i ruszył na czele swych ludzi patrzeć z dalekiej wyniosłości na przeprawę.

Wojska nieprzyjacielskie przeprowadzały się rzeczywiście. Jak okiem sięgnąć, widać było promy i tratwy, których wiosła tłukły miarowym ruchem jasną wodę. Jechali janczarowie i spahisy odrazu w wielkiej liczbie, bo statki przewozowe przygotowywano już oddawna w Chocimiu. Prócz tego stały nad brzegiem opodal wielkie masy wojsk. Tymczasem nadjechał pan Lanckoroński ze swymi ludźmi i obaj z małym rycerzem ruszyli do Kamieńca.

W mieście oczekiwał ich pan Potocki. W kwaterze jego pełno było wyższych oficerów, a przed kwaterą stały tłumy ludności, niespokojne, stroskane, ciekawe.

— Nieprzyjaciel przeprowadzają się i Żwaniec zajmują!—rzekł mały rycerz.

— Roboty ukończone i czekamy!—odrzekł pan Potocki.

ROZDZIAŁ VIII.

Nazajutrz, skoro świt, pojechał mały rycerz pod Kniahin, gdzie ze spahisami się potykał. Dzień cały zeszedł mu w pracy, w polu; część nocy na naradzie u pana Potockiego i dopiero o pierwszych kurach strudzoną głowę nieco do snu przyłożył. Ledwie jednak usnął smacznie a głęboko, gdy zbudził go huk dział. Jednocześnie czeladnik Piętka, wierny Wołodyjowskiego sługa i prawie przyjaciel, wszedł do izby.

— Jegomość! — zawołał — nieprzyjaciel pod miastem!

Zerwał się na równe nogi mały rycerz.

— A jakie działa słychać?

— Nasi poganów płoszą. Jest znaczny podjazd, który bydło z pola zabiera.

— Janczary-li, czy jazda?

— Jazda, panie. Sami czarni, jak dyabli.

— Dyabli, czy nie dyabli, a trzeba nam ku nim — odrzekł mały rycerz. — Ty pójdiesz do pani i oznajmisz, żem w polu. Jeśliby do zamku chciała przyjść patrzeć,

to może, byle z panem Zagłobą, gdyż na jego przeczność najbardziej liczę.

I w pół godziny potem wypadł pan Wołodyjowski w pole na czele dragonów i ochotników, którzy liczyli, że na harcach będzie się można popisać. Ze starego zamku widać było doskonale kawaleryę w liczbie około dwóch tysięcy, złożoną w części ze spahisów, przeważnie zaś z egipskiej gwardyi sułtańskiej. W tej ostatniej służyli możni egipcyanie z nad Nilu. Błyszczące ich karaceny, jaskrawe, złotem tkane kefije na głowach, białe burnusy i broń sadzona klejnotami, czyniły z nich najświetniejszą jazdę w świecie. Zbrojni byli w dziirty, osadzone na kolankowatych trzeinach, w bardzo krzywe bułaty i noże. Siedząc na koniach, jak wiatr ściągłych, przelatywali naksztalt tęczowego obłoku pole, wyjąc i kręcąc między palcami zabójcze włócznie. Widokiem ich nie mogli się z zamku nasycić.

Lecz pan Wołodyjowski sunął ku nim z jazdą, nie mogąc jednak uderzyć, dla znacznie większej liczby nieprzyjaciela. Czas jakiś jedni i drudzy kręcili się zdaleka, wytrząsając na się bronią i krzycząc. Wreszcie pojedynczy jeźdźcy tureccy poczęli się odrywać od masy i ku naszym przybliżać. Wołodyjowski spojrział po swoich:

— Mości panowie! zapraszają nas! a kto na harcownika?

Wnet skoczyło kilkunastu wyborowych kawalerów, a i dragonów poszła również kupka.

Dzień był jasny, piękny, widać ich było jak na dłoni. Zrazu jechali ku sobie krokiem, nie spiesząc się, potem klusem i nie w linii, ale w rozproszeniu, jak któremu dogodniej. Nakoniec, przyjechawszy blisko jedni ku

drugim, zatrzymali konie i poczęli się lżyć wzajemnie dla rozbudzenia w sercu gniewu i męstwa.

Wielu pomiędzy polskimi harcownikami rozumiało język turecki, bo wielu, za przykładem pana Muszalskiego, ciężką odbyło niewolę, a że poganie szczególniej hardo Najświętszej Pannie bluźnili, wnet gniew począł podnosić włosy na głowach sług Maryi i ruszyli końmi, chcąc pomścić zniewagę Jej imienia.

I rozpoczął się szereg walk pojedynczych, w których to nasi to poganie brali przewagę, lecz po większej części zwycięstwo było po stronie bieglej w szermierce szlachty. Był jednak jeden jeździec w tureckich szeregach, który potęgą i zręcznością w boju nad wszystkimi górował. Ten powalił najpierw dwóch dragonów, potem kniazia Owsianego, potem pana Szelutę i biegł dalej w pole, szukając przeciwników.

Lecz wielu nie starczyło serca, by się zmierzyć z potężnym Hamdi-beyem. Wiatr podnosił mu biały burnus na plecach i rozwijał go, nakształt skrzydeł drapieżnego ptaka, pozłocista karacena rzucała złowrogi blask na jego twarz, całkiem prawie czarną, o oczach dzikich i świecących, a krzywa szabla błyszczała nad jego głową, właśnie jak błyszczy sierp księżycy w noc pogodną.

Pan Muszalski dwie już nań strzały wypuścił, lecz obie zadźwięczały tylko jękliwie po karacenie i zesunęły się bezsilnie na trawę, a Hamdi, dojrzwawszy łuczника, wypuścił na niego swego czarnego żrebca.

Obaj natarli na się w środku pola. Chciał pan Muszalski siłą swą wielką się popisać i żywcem Hamdiego wziąć, więc podbiwszy mu silnem cięciem od dołu bułat w górę, szepił się z nim, jedną ręką pochwycił za gardło, drugą za ostrze misiurki i ciągnął potężnie ku so-

bie. Wtem pękł mu popręg u terlicy, więc niezrównany łuczник przekreślił się z nią razem i zwałił się na ziemię. Upadającego zaś Hamdi uderzył ręką w głowę i ogłuszył na miejscu.

Mały rycerz nie brał dotąd w harcach udziału, bo mu na to nie pozwalała jego pułkownikowska powaga, lecz widząc upadek pana Muszalskiego i przewagi Hamdi-beya, postanowił pomścić łuczника, a zarazem swoim sercem dodać. Ożywion tą myślą, wspiał ostrogami konia i sunął ukosem w pole, tak szybko, jak sunie krogulec ku stada siewek, kręcących się nad rżyskiem.

Dostrzegła to Baśka, stojąca na blankach starego zamku, i krzyknęła zaraz do stojącego obok pana Zagłoby:

— Michał leci! Michał leci!

— Tu go poznasz!—zawołał stary wojownik—patrz pilnie, patrz, gdzie najprzód uderzy! Nie bój się!

— Dwóch leci na Michała!—krzyknęła znów Basia.

— Nic to! Dwóch będzie mniej na świecie—odrzekł Zagłoba.

Istotnie dwóch rośłych spahów wysforowało się przeciw małemu rycerzowi, lecz on nawet konia nie powstrzymał, jeno, mijając ich, rozdał między nich dwa uderzenia, niby tak lekkie, jak gdyby matka rozdała mimochodem dzieciom po szturchańcu, a oni padli na ziemię i wpiwszy się w nią palcami, poczęli drgać.

Mały rycerz zaś poleciał dalej ku jeźdźcom, wicherzącym się po polu i począł szerzyć klęski okropne. Poznali poganie mistrza nad mistrzami i omdlały w nich serca. Ten i ów zdarł konia, by ze strasznym mężem się nie spotkać; mały rycerz zaś rzucał się za uciekającymi,

nakształt zjadliwego szerszenia i coraz to innego jeźdźca żądłem przesywał.

Żołnierze od armaty zamkowej poczęli krzycheć radośnie na ów widok, a Basia miała ochotę śmiać się i płakać i w ręce klaskać i patrzeć i lecieć za mężem w pole.

Ów dalej porywał spalów i egipskich beyów, aż wreszcie wołania: „Hamdi! Hamdi!“ rozległy się po całym polu. To Turcy przywoływali wielkimi głosami najtętszego ze swych wojowników, aby nareszcie zmierzył się ze straszliwym małym jeźdźcem, który zdawał się być śmiercią wcieloną.

Hamdi dostrzegł już małego rycerza oddawna, ale widząc jego czyny, zląkł się poprostu w pierwszej chwili. Strach mu było postawić naraz sławę i młode życie przeciw takiemu rycerzowi, więc udał umyślnie, że go nie widzi i na drugim końcu pola krążyć począł. Gdy jednak rozpaczliwe wołania: „Hamdi! Hamdi!“ obiły się o jego uszy, poznał, że dłużej kryć się niepodobna i że trzeba albo sławę niezmierną uzyskać, albo głowę nałożyć. W tej chwili wydał krzyk tak przeraźliwy, że wszystkie wiszary ozwały mu się echem i wypuścił ku małemu rycerzowi podobnego do wichru konia.

Wołodyjowski dojrzał go zdala i ścisnął również piętami swego gniadego wołoszyna. Na zamku Basia, która poprzednio widziała wszystkie przewagi groźnego Hamdi-beya, przybladła nieco, lecz pan Zagłoba był zupełnie spokojny.

Tamci zaś zwarli się w środku pola, wśród dwóch zdala patrzących szeregów. Serca wszystkim zamarły na chwilę. Wtem błyskawica wężowa mignęła w jasnym słońcu nad głowami walczących: to krzywy bułat wyleciał z rąk Hamdiego, jakby podbita cięciwą strzała, a on

pochylił się w kulbace, jakby już ostrzem przesyty i zamknął oczy, lecz pan Wołodyjowski ucapił go lewą ręką za kark i przyłożywszy mu sztych rapiera do pachy, pognął ku swoim. Tam oddał go srogiemu wachmi-strzowi Luśni, a sam zawrócił ku polu.

Lecz w drużynach tureckich ozwały się trąby i piszczałki; był to znak dla harcowników, że czas ściągać się z pola do kupy, więc poczęli pomykać ku swoim, unosząc wstyd, frasunek i wspomnienie straszliwego jeźdźca.

Harcownicy polscy pozostali jeszcze chwilę, aby okazać, iż odzierżyli pole, potem wydali po trzykroć okrzyk zwycięstwa i cofnęli się pod osłoną dział, z których pan Potocki na nowo bić kazał. Na pobojowisku zostali tylko pocięci mieczami Turcy i Polacy. Wyszła z zamku czeladź, by zabrać i pogrzebać swoich. Potem przyleciały kruki, by się pogrzebem pogan zająć.

ROZDZIAŁ IX.

Dnia szesnastego sierpnia nadciągnął chan z ordą i Doroszenko ze swymi kozaki. Obaj zalegli ogromną przestrzeń na polach od Orygina. Chan wezwał tegoż dnia pana Myśliszewskiego na rozmowę i radził, by się miasto poddało, bo jeśli to bez zwłoki uczyni, może uzyskać warunki tak łaskawe, o jakich w dziejach oblężeń nie słyszano. Pan Myśliszewski rozmowę tę swoją przed radą powtórzył, i jako tam już od początku do układów skłonność niektórzy mieli, nie wierząc, żeby Kamieniec tak ogromnej sile oprzeć się zdołał, więc i teraz byli tacy, którzy radzi byli się dowiedzieć, jakie to miały być owe łaskawe warunki. Większość jednak o żadnych warunkach słyszeć nie chciała i posłano nieprzyjacielowi odpowiedź odmowną. Dnia osmnastego sierpnia stanął pod Kamieńcem i sam sułtan.

Wojska szły jako morze nieprzebrane. Mrowie to, w różnych zbrojach i ubiorach, ciągnęło się bez końca. Od świtu do nocy, bez przestanku, wchodzili, przenosili się z miejsca na miejsce, rozstawiali wojska, kręcili się

po polach, ustawiali namioty, które taką przestrzeń zajęły, że z wież i najwyższych miejsc Kamieńca wcale nie można było dojrzeć wolnego od płócien pola. Ludziom zdawało się, że śniegi spadły i całą okolicę pokryły. Do wieczora Kamieniec był tak zamknięty, że chyba jedne gołębie mogły się zeń wydostać. Rozstawianie taboru odbywało się przy huk strzelb, albowiem zasłaniający tę robotę oddział janczarów nie przestawał ku murom strzelać; z murów zaś odpowiadano niustającym ogniem działowym. Grzmiało echo po skałach, dymy unosiły się ku górze i zakryły błękit niebieski. Ogień uciekł dopiero, gdy pierwsze gwiazdy błysnęły na niebie.

Przez kilka następnych dni ogień z murów i do murów trwał ciągle z wielką dla oblegających szkodą. Turcy przytem, nie wiedząc widocznie, że na obu zamkach i w samym mieście są dalekonośne działa, porozbijali zbyt blisko namioty. Za radą małego rycerza pozwolono im to uczynić i dopiero, gdy z nadejściem chwili spoczynku, żołnierze, chroniąc się przed upałem, napełnili ich wnętrza, dano do nich ognia. Powstał popłoch. Kule pozrywały płótna i drągi, raziły żołnierzy, rozrzuciły ostre okruchy skał. Janczarowie cofali się w zamieszaniu i nieładzie, roznosząc zamęt i trwogę i po dalszych szeregach. Na tak pomieszanych wypadł pan Wołodjowski z jazdą i siekł, póki potężne hufce nie przysłyły im w pomoc. Ogniem działowym kierował głównie Ketting, a obok niego wójt, Cypryan, największych naczynił między pogany spustoszeń.

Lecz i Turcy kopali aprosze, sypali szańce i zaciągali na nie ciężkie działa. Zanim jednak bić z nich zaczęli, sułtan raz jeszcze wezwał miasto do poddania się. „Wojsko moje (pisał) może być z liśmi na drzewie

i z piaskiem morskim porównane. Spójrzycie na niebo i gdy ujrzycie gwiazdy nieprzeliczone, tedy wzbudźcie strach w sobie i powiedzcie jeden drugiemu: Oto jest potęga Turków! Ale iżem jest nad inne króle, król łaskawy, przeto poczynam z wami łagodnie i powiadam wam: poddajcie miasto wasze. Chcecie-li ze mną uporem iść, wszyscy pod mieczem zginiecie, a przeciw mnie żaden głos ludzki wznieść się nie ośmieli.“

Namyślano się długo, jaką dać na owo pismo odpowiedź i wreszcie wysłano list, który brzmiał jak następuje: „Cesarza gniewać nie chcemy, ale i słuchać go nie mamy obowiązku, bośmy nie jemu, jeno naszemu panu przysięgali. Kamieńca nie damy, gdyż nas przysięga wiąże twierdzy i kościołów do śmierci bronić.“ Po owej odpowiedzi rozeszli się oficerowie na mury, a zostali jeno ci, którzy zawsze radzi byli z Turczyńcem się ułożyć i miasta na oblężenie nie wystawiać. Otóż oni wysłali drugi list do sułtana, prosząc go o zaprzestanie walki na cztery tygodnie. Gdy wieść o tem rozeszła się między oficerami, począł się huk i trzaskanie szablami. „To my tu przy działach gorzejem—powtarzał jeden i drugi—a tam bez naszej wiedzy listy ślą, chociaż do rady należym!“ I wieczorem oficerowie udali się gromadnie do pana Potockiego, mając na swem czele małego rycerza i pana Makowieckiego, obydwóch wielce tem, co się stało, strapiionych.

— Jakże to?—zawołał pan Makowiecki—zali już o poddaniu myślicie, żeście nowego posła wysłali? Czemu to stało się bez naszej wiedzy?

— Zaiste—dodał mały rycerz—skorośmy na radę zostali wezwani, bez nas listów ślać się nie godzi. O poddaniu też mówić nie pozwolimy...

Pan generał podolski i inni, widząc takie oburzenie rycerstwa, zmieszali się wielce i tłumaczyć poczęli, że o poddaniu mowy nie było, prosili jeno sułtana o zaprzestanie walki na cztery tygodnie, żeby przez ten czas pan Sobieski zdążył im przyjść z pomocą. Ale były to racye ludzi, którzy na wojnie się nie znali, bo i jakżeby nieprzyjaciel miał zgodzić się na to, żeby dawać czas oblężonym na doczekanie się pomocy? To też żołnierze spoglądali zdziwieni po sobie. „Żarty, nie żarty?“—spytało kilka głosów. Potem umilkli wszyscy.

— Wasza miłość!—rzekł wreszcie Wołodyjowski.— Odbyłem wojny tatarskie, kozackie, szwedzkie, a o takich racyach nie słyszałem. Bo nie po to tu sułtan przyszedł, aby nam, jeno po to, aby sobie wygodzić. Jakże to on ma pozwolić na czterotygodniowe zaprzestanie walki, jeśli mu się pisze, że przez ten czas na odsiecz sobie wygodnie poczekamy?

— Jeśli się nie zgodzi, to nie będzie nic innego, jak jest!—odrzekł pan Potocki.

Na to Wołodyjowski:

— Kto o zawieszenie broni błaga, ten swój strach i swoją niemoc jawnie okazuje, a kto na odsiecz liczy, ten widać własnym siłom nie ufa. Dowiedział się teraz o tem z owego listu pies pogański i przez to szkoda stała się nieobliczona.

— Co tedy czynić?—poczęto pytać.—Niech będzie nasza wina, ale co czynić? Jak złe naprawić?

— Jak złe naprawić?—powtórzył pan Wołodyjowski. I zamyslił się trocha, poczem podniósł głowę wesole.

— A no, można! Mości panowie, proszę za sobą!

I wyszedł, a za nim oficerowie. W kwadrans potem cały Kamieniec zatrzęsł się od huku dział. Pan Wołodyjowski

dyjowski zaś wypadł z ochotnikami za mury i napadłszy na uśpionych w aproszach janczarów, siekł ich, póki nie rozpędził i do taboru nie odegnał.

Poczem wrócił do pana generała, u którego zastał jeszcze kilka innych osób.

— Wasza miłość—rzekł wesoło—a ot rada!

ROZDZIAŁ X.

*P*o owej wycieczce noc przeszła na strzelanie, ale dorywczej. Lecz ledwie dzień zaczął szarzyć, a na wschodzie pokazał się różowy, bramowany złotem pas jutrzeńki, gdy w obu zamkach uderzono na alarm. W mieście kto spał, ten się obudził, rozespiane tłumy poczęły pojawiać się na ulicach, nasłuchując pilnie: „Szturm się gotuje!”—mówili jedni drugim, ukazując w stronę zamków. „A pan Wołodyjowski tam jest?”—pytały niespokojne głosy.—„Jest! jest!”—odpowiadali inni.

W zamkach zaś bito w kaplicach we dzwony, prócz tego warczenie bębnowo odzywało się ze wszystkich stron. Mrowie pogańskie poczęło się też poruszać koło namiotów. Przy wstającym dniu wychylały się z pomroki spiętrzone szańce, szańczyki i aprosze, ciągnące się długą linią podle zamku. Naraz na całej tej długości ryknęły ciężkie działa tureckie, odhuknęły im echem skały Smotrycza i stał się grzmot tak okropny i straszliwy,

jakby w niebie zapaliły się wszystkie pioruny i zlatywały na ziemię.

Była to walka armat. Miasto i zamki odpowiedziały potężnie. Wkrótce dymy przesłoniły słońce, świat i nie było widać obozu tureckiego, nie było widać Kamieńca, tylko jedną szarą, olbrzymią chmurę, pełną w środku gromów i łoskotu. Lecz działa tureckie donośniejsze były od miejskich. Wkrótce śmierć w mieście poczęła kosić. Z obsługi przy hakownicach po dwóch i trzech naraz ginęło. Ojcu Franciszkowi, który po szańcu chodząc, działa błogosławił, klin z pod armaty oberwał nos i część gęby; przy nim dwóch żydów, wielkich rezolutów, do rychtowania pomagających, upadło.

Lecz głównie były działa w szaniec miejski. Pan Kazimierz Humiecki siedział tam, w największym ogniu i dymie; połowa z sotni jego poległa, pozostali, wszyscy niemal byli ranni. On sam zaniemówił i ogłuchł, lecz zmusił do milczenia baterię nieprzyjacielską.

Upłynął dzień, drugi, trzeci, i owo straszliwe huczenie armat nie ustawało ani na chwilę. U Turków zmieniali się puszkarze cztery razy na dobę, lecz w mieście jedni i ci sami musieli wytrwać bez snu, prawie bez jedzenia, nawpół uduszeni od dymu, wielu rannych od rozprysniętych kamieni i złomków lawet.

Żołnierze wytrwali, ale w mieszczanach poczęło słabnąć serce. Trzeba ich było w końcu naganiać kijami do armat, przy których zresztą gęstym padali trupem. Na szczęście wieczorem i przez noc główny impet zwrócił się na zamki.

Zasypano oba, a szczególnie stary, granatami, które jednak mało psowały, gdyż w ciemności każdy granat jest znaczny i łatwo go człowiek uniknąć potrafi.

Dopiero po nad ranem, gdy ludzi ogarnęło tak wielkie znużenie, iż ze snu walili się z nóg, poczęli ginąć dość gęsto.

Mały rycerz, Ketling, Myśliszewski i Kwasiebrocki odpowiadali z zamków na ogień turecki. Pan generał podolski raz wraz do nich zaglądał i chodził wśród gradu kul, frasobliwy, ale na niebezpieczeństwo nie baczący.

Wszelako ku wieczorowi, gdy ogień jeszcze się powiększył, pan generał podolski zbliżył się do pana Wołodyjowskiego.

— Mości pułkowniku — rzekł — nie utrzymamy się tu.

— Póki poprzestają na strzelaniu — odrzekł mały rycerz — póty się utrzymamy, ale oni minami nas stąd wysadzą, bo kują.

— Zali kują istotnie? — pytał niespokojnie pan generał.

Na to Wołodyjowski:

— Siedmdziesiąt armat gra i grzmot jest prawie nieustający, ale przecie zdarzają się chwile cichości. Jak taka nadejdzie, niech jeno wasza dostojność dobrze nadstawi ucha, a usłyszysz.

Na ową chwilę nie potrzebowali istotnie długo czekać, tembardziej, że wypadek przyszedł im w pomoc. Oto jedno z dział burzących tureckich pękło. Sprowadziło to pewne zamieszanie; z innych szanców posłano pytać, co się dzieje i nastąpiła przerwa w strzelaniu.

Wówczas pan Potocki z Wołodyjowskim przysunęli się do samego końca jednego z zamkowych wyczółków i poczęli słuchać. Po pewnym czasie uszy ich dosłyszaly dość wyraźnie odgłosy kilofów, bijących w skalną ścianę.

— Kują—rzekł pan Potocki.

— Kują—powtórzył mały rycerz.

Poczem zamilkli. Wielki niepokój pojawił się na twarzy pana generała; podniósł ręce i głowę niemi ścisnął. Widząc to, Wołodyjowski rzekł:

— Zwyczajna to rzecz w każdym oblężeniu. Pod Zbarażem ryli pod nami dzień i noc.

Pan generał podniósł głowę.

— Co Wiśniowiecki na to robił?

— Przenosiliśmy się z obszerniejszych wałów w coraz ciasniejsze.

— A nam co czynić należy?

— Nam należy działa, a z niemi co można, do starego zamku przenieść, bo stary na takich skałach fundowan, że i prochami ich nie rozsadzą. Zawszem tak myślał, że nowy posłuży tylko na to, żeby dać pierwszy wstręt nieprzyjacielowi, potem trzeba nam go będzie samym od czoła prochami wysadzić i prawdziwa obrona pocznie się dopiero w starym.

Nastała chwila milczenia i generał pochylił znów stroskaną głowę.

— A jeżeli nam i ze starego zamku przyjdzie ustąpić? Gdzie ustąpimy?—pytał złamanym głosem.

Na to wyprostował się mały rycerz i ukazał palcem na ziemię.

— Ja jeno tam! — rzekł. — Przysięgłem Bogu, że zamku nieprzyjacielowi nie oddam, więc jeżeli go utrzymać nie będzie w mocy mojej, tedy się w gruzach jego pogrzebię!

W tej chwili działa zaryczały na nowo i całe stada granatów poczęły lecieć na zamek, ale że już mrok był na świecie, więc było je widać doskonale. Pan Wołody-

jowski, pożegnawszy się z generałem, poszedł wzdłuż murów i przechodząc od jednej baterii do drugiej, wszędzie zachęcał, rady dawał, wreszcie spotkawszy się z Ketlingiem, rzekł:

— A co?

Ów uśmiechnął się tylko.

— Widno od granatów, jak w dzień—rzekł, ściskając rękę małego rycerza—nie żałują nam ognia.

— Działo im znaczne pękło. Tyś wysadził?

— Ja.

— Spać mi się chce okrutnie.

— I mnie, ale nie czas.

— Ba—rzekł Wołodyjowski—i żoniska muszą być niespokojne; na tę myśl...

Lecz nie dokończył, bo zwróciwszy się w tej chwili ku wnętrzu zamku, krzyknął nagle wielkim głosem:

— Dla Boga! rety! co ja widzę!

I skoczył przed siebie. Ketling obejrzał się ze zdziwieniem; o kilkanaście kroków na podwórzu zamkowym ujrzał Baškę, w kompanii pana Zagłoby i czeladnika Piętki.

— Pod mur! pod mur!—wołał mały rycerz, ciągnąc ich co prędzej pod przykrycie blankowe.—Dla Boga!...

— Ha!—mówił przerywanym głosem, sapiąc, pan Zagłoba — daj tu sobie z taką radą! Proszę, perswaduję: „Zgubisz siebie i mnie!“ — Kłękam, nic! Miałem ją samą puścić, co?... Ufl nic nie pomaga! nic nie pomaga! „Pójdę! pójdę!“ No i masz ją!

Basia miała przestach w twarzy i brwi jej drgały, jak do płaczu. Ale nie granatów się bała, nie grzoty kul, nie rozprysniętych kamieni, jeno gniewu męża. Więc ręce złożyła i poczęła mówić łkającym głosem:

— Nie mogłam, Michałku! jak ciebie kocham, nie mogłam! Mój Michałku, nie gniewaj się! Ja nie mogę tam siedzieć, kiedy ty tu gorzejesz, niemożę! niemożę!...

On zaczął się w istocie gniewać, już zakrzyknął: „Baśka, Boga się nie boisz!“ — lecz nagle porwało go rozczulenie; głos mu uwiązł w gardle i dopiero, gdy ta najdroższa głowa przytuliła mu się do piersi, ozwał się:

— Mój ty przyjacielu wierny do śmierci, mój ty!...

I objął ją rękoma.

A tymczasem Zagłoba, wcisnąwszy się pośpiesznie w załamanie muru, począł mówić:

— Ha! na most od miasta do zamku padają granaty, jak gruszki... Myślałem, że się rozpuknę... ze złości przecie, nie ze strachu... Przewróciłem się na ostre czerepy i podarłem sobie tak skórę, że przez tydzień bez bólu nie usiedę. Uf! a te szelmy strzelają, żeby ich pioruny wystrzelały!.. Dajcie pić żołnierzom, bo nie wytrzymają... Patrzcie na ten granat! Dalibóg! blisko tu gdzieś padnie... Osłońcie Baškę! dalibóg blisko!...

Lecz granat upadł daleko, nie blisko, bo aż na dach kaplicy luterskiej w starym zamku. Tam, że sklepienie było bardzo mocne, zniesiono prochy, lecz pocisk przebił sklepienie i zapalił je. Huk potężny, silniejszy od grzmotu działa, wstrząsnął posadami obu zamków. Z blanków ozwały się głosy przerażenia, armaty i polskie i tureckie umilkły.

Ketling porzucił Zagłobę, Wołodyjowski Basię, i co siły w nogach skoczyli obaj na mury. Przez chwilę słychać było, jak obaj wydawali zdyszaniem pierściami rozporządzenia, lecz komendę ich zgłuszyło warczenie bębnow w szańcach tureckich.

— Do ataku pójdą!—szepnął Zagłoba.

Jakoż Turcy, usłyszawszy wybuch, wyobrazili sobie widocznie, że oba zamki muszą być zrujnowane, a obrońcy częścią zagrzebani w gruzach, częścią przejęci strachem. W tej myśli gotowali się do szturm. Głupi! nie wiedzieli, iż to sama tylko kaplica luterska wyleciała w powietrze, wybuch zaś, prócz wstrząśnienia, nie przyczynił innych szkód i nawet żadne działo nie wypadło z łoża na nowym zamku. Atoli w szańcach warczenie bębnow stało się coraz gorętsze. Tłumy janczarów zsunęły się z szańców i biegły kłusem ku zamkowi. Ognie na zamku i w przekopach tureckich pogasły wprawdzie, ale noc zrobiła się pogodna i przy świetle księżyca widać było zbitą masę białych czapek janczarskich, kołyszącą się od biegu nakształt fali, poruszanej wiatrem. Szło kilka tysięcy janczarów. Wielu z nich nie miało już nigdy ujrzeć ziemi rodzinnej, ale teraz biegli z zaciętością i nadzieją pewnego zwycięstwa w sercach.

Wołodyjowski biegł, jak duch, wzdłuż murów.

— Nie strzelać! Czekać komendy!—wołał przy każdym dziale.

Dragoni z muszkietami położyli się wiankiem na murach, dysząc zawziętością. [Nastąpiła cisza, słychać było tylko odgłos szybkiego stąpania janczarów, jak przygłuszony grzmot. Im byli bliżej, tem byli pewniejsi, że jednym zamachem ogarną oba zamki. Wielu myślało, że resztki obrońców cofnęły się już do miasta i że na blankach pustka. Dobiegłszy do fosy, poczęli ją zarzucać faszyną, worami słomy i zarzucili ją w mgnieniu oka.

Na murach była ciągle cisza.

Lecz gdy pierwsze szeregi wstąpiły już na podściele, którą zarzucona była fosa, w jednym wrębie blankowym

huknął wystrzał z pistoletu, a jednocześnie przeraźliwy głos zawołał:

— Ognia!

I zaraz oba wyczółki i łączące je wydłużenie czółowe zaświeciły długą błyskawicą płomienia; rozległ się grzmiot dział, grzechotanie samopalów i muszkietów, wrzask napastników. Ni jeden strzał nie był daremny. Działa, nabite kartaczami, poprostu kładły ludzi mostem. Janczarowie nie mogli tego ognia wytrzymać, skłębili się, cofnęli, znów rzucili naprzód, ale wreszcie bezładnie i tłumnie poczęli uciekać.

Atak został na całej linii odparty, więc gdy janczarowie uciekali, jak obłąkani, z rykiem przestrachu— w szańcach tureckich poczęto ciskać zapalone maźnice, pochodnie, aby uciekającym drogę oświecić i spodziewanej wycieczce pościg utrudnić.

Tymczasem pan Wołodyjowski skrzyknął dragonów i spuścił się wraz z nimi za uciekającymi. Stosy trupów zamykały drogę, a Ketling sypał tak bezustannie ogniem w te skłębione tłumy, że i ucieczka stawała się niemożliwą. Żywym pozostawało zginąć, bo obrońcy nie chcieli brać jeńców, więc poczęli się bronić okropnie. Strach, przerażenie, pewność śmierci, rozpacz, zmieniły się u nich w jedno uczucie wściekłości. Ogarnęło ich uniesienie bojowe. Dragonów z trudu, bezsenności, głodu, ogarnęła też zwierzęca zawziętość na tego nieprzyjaciela i szeryli kłęski okropne. Na końcu drugiego skrzydła pan Wołodyjowski rzucał się, na podobieństwo ducha śmierci, między janczarami. Już imię jego było znane między Turkami z poprzednich walk, już było mniemanie, że kto się z nim spotka, nie odejmie się śmierci—więc nie jeden z tych janczarów, ujrzawszy go nagle przed sobą,

nie bronił się nawet, ale przymknawszy oczy, konał pod ciosem rapiera. Wreszcie opór ich osłabł, a po niedługiej chwili ustał zupełnie, bo oto resztki już ginęły.

Dragonii wrócili do zamku ze śpiewem, krzykiem, zziązani, przesiąkli krwią; następnie dano jeszcze kilka strzałów działowych z szańców tureckich i zamku, poczem nastąpiła cisza.

— Chwała Bogu—rzekł mały rycerz—będzie spoczynek choć do jutrzejszego ranka, a należy nam się sprawiedliwie.

Lecz był to względny spoczynek, bo gdy noc stała się głębsza, w ciszy rozległ się znowu dźwięk kilofów, bijących w ścianę skalną.

— Gorsze to od dział!—rzekł, nasłuchując, Ketling.

— Ot, wycieczkę-by wyprowadzić—zauważył mały rycerz — ale niepodobna, ludzie zbyt pomęczeni. Nie spali i nie jedli, choć było co, bo czasu nie starczyło. Zresztą przy górnikach stoi zawsze kilka tysięcy spahów, aby zaś nie mieli z naszej strony jakowej przeszkody. Niema innej rady, jeno sami musimy nowy zamek wysadzić, a do starego się schronić!

— Nie dziś to już—odpowiedział Ketling.—Patrz, ludzie popadali jak snopy i śpią kamiennym snem. Dragonii nawet szabel nie obtarli.

— Baśka, do miasta i spać—rzekł nagle mały rycerz.

Ale Baśce nie łatwo było teraz wracać do miasta, bo z nastaniem nocy klasztor zamykano i trudno się było do wnętrza dostać, musiała więc do rana w zamku pozostać.

Wołodyjowski chciał spocząć choć trochę po trudach ostatniego szturm, a że w komnatach pełno było

kurzawy wapiennej, której naczyniły kule, wstrząsając ścianami, poszli więc oboje z Baską ku murom i umieścili się w niszy, po zamurowaniu starej bramy pozostałej.

Tam on siadł i wsparł się o mur, a ona przytuliła się do niego, jak dziecko do matki. Noc była sierpniowa, ciepła i słodka. Księżyc oświecał srebrnym światłem wglębienie, tak, że twarz małego rycerza i Basi były skąpane w blasku. Poniżej, na podwórzu zamkowym, widać było uszione kupy żołnierzy, a także i ciała zabitych podczas dziennej strzelaniny, bo nie znaleziono dotąd czasu na ich pogrzebanie. Ciche światło miesiąca pełzało po tych kupach, jakby ów samotnik niebieski chciał wiedzieć, kto śpi tylko ze znużenia, a kto już usnął snem wiecznym. Dalej rysowała się ściana głównej budowy zamkowej, od której padał cień na połowę podwórza. Z zewnątrz murów, gdzie leżeli pocięci mieczami janczarowie, dochodziły głosy męskie. To ciurowie i ci z dragonów, którym łup był miłszy od snu, obdzierali poległych. Lecz po jakimś czasie ruch ów począł ustawać i nareszcie ustał zupełnie. Zrobiła się cisza, którą przerywały tylko dalekie odgłosy kilofów, łamiących wciąż skałę i nawoływania straży na murach. Ta cisza, światło i noc przepyszna, upoiły małego rycerza i Basię. Stało im się, nie wiadomo dlaczego, tęskno i trochę smutno. Baska pierwsza podniosła oczy na męża i widząc, że ma oczy otwarte, spytała:

— Michałku, nie śpisz?

— Aż dziwno, ale nic się nie chce.

— A dobrze ci tu jest?

— Dobrze. A tobie?

Baska zaczęła kręcić jasną główką.

— Oj! dobrze, Michałku, dobrze!

Nastała chwila milczenia, którą przerwał mały rycerz:

— Baska! — rzekł — słuchajno, Baska!

— Co, Michałku?

— Bo, prawdę rzekłszy, okrutnie nam dobrze ze sobą i tak myślę, że gdyby jedno z nas poległo, toby drugie bez miary tęskniło.

Basia doskonale zrozumiała, że mały rycerz, mówiąc: „gdyby jedno z nas poległo” — zamiast: *umarło* — siebie tylko miał na myśli. Przyszło jej do głowy, że on może nie spodziewa się wyjść żywym z tego oblężenia, że chce ją oswoić z tym terminem, więc straszne przecucie ścisnęło jej serce i złożywszy ręce, rzekła:

— Michale, miej miłosierdzie nad sobą i nade mną!

Głos małego rycerza był nieco wzruszony, choć spokojny.

— A widzisz, Baska, że nie masz słuszności — rzekł — bo tak, wzięwszy tylko na rozum, cóż to jest to życie doczesne? Przez co tu kark kręcić? Komu tu będzie dostatkim smakować szczęśliwość i kochanie, kiedy wszystko kruche, jak zeschnięta gałąź, co?

Lecz Basia poczęła się trząść z płaczu i powtarzać:

— Nie chcę, nie chcę, nie chcę!

— Jak mi Bóg miły, tak nie masz słuszności — powtórzył mały rycerz. — Ot, uważasz, tam w górze, za onym cichym miesiącem, jest kraina wiekuistej szczęśliwości. O takiej, to mi gadaj! Kto się na tamtą lewadę dostanie, ten dopiero sobie odsapnie, jakby po długiej drodze — i pasie się spokojnie. Jak na mnie termin przyjdzie (a to przecie żołnierska rzecz), zaraz sobie powinnaś powiedzieć: „Michał odjechał, prawda, że daleko,

dalej, niż stąd na Litwę, ale nie to! bo i ja za nim podążę.“ Baśka, no, cicho, nie płacz! Które pierwsze pójdzie, to drugiemu kwaterę przygotowuje — i cała sprawa.

Tu przyszło na niego jakby widzenie rzeczy przyszłych, bo podniósł oczy ku blaskowi miesięcznemu i tak dalej mówił:

— Co to doczesność! Dajmy, że ja już tam będę, aż tu ktoś puka do niebieskich podwoi. Święty Piotr otwiera; patrzę ja: kto? moja Baśka! Rety! O! to dopiero skoczę, o! to dopiero zakrzyknę! Miły Boże! słów w gębie brak! I nie będzie płakania, jeno wieczne wesele i nie będzie pogan, ni armat, ni min pod murami, jeno spokój i szczęśliwość! Ej, Baśka, pamiętaj: nic to!

— Michale, Michale! — powtarzała Basia.

I znowu nastała cisza, przerywana tylko odległym, monotonnym dźwięczeniem kilofów.

Wreszcie Wołodyjowski ozwał się:

— Baśka, zmówmy sobie teraz pacierz.

I te dwie dusze, czyste jak lzy, poczęły się modlić. W miarę jak odmawiali pacierze, spływał na oboje spokój, a potem zmorzył ich sen i usnęli aż do pierwszego brzasku.¹

Pan Wołodyjowski odprowadził następnie Basię aż do mostu, łączącego stary zamek z miastem, na odcho-
dnem zaś rzekł jej:

— Pamiętaj Baśka: nic to!

ROZDZIAŁ XI.

G rzmot dział wstrząsnął znów zamkami i miastem. Już Turcy wryli fosę wzdłuż zamku na pięćset łokci długą, w jednym miejscu zaś już się przy samym murze w głąb dobywali. Z fosy owej siedł na mury nieustanny ogień janczarek. Oblężeni czynili zasłony ze skórzanych worów, wypychanych wełną, lecz że z szaniców miotano bezustannie faskule i granaty, przeto koło armat padał trup bardzo gęsto. Przy jednym dziale granat zabił odrazu sześciu ludzi z piechoty Wołodyjowskiego, przy innych raz wraz padali puszkarze. Spostrzegli przywódcy, że trzymać się dłużej w nowym zamku niepodobna, zwłaszcza, że i miny mogły już lada chwila wybuchnąć. W nocy więc zeszli się rotmistrzowie ze swemi sotniami i do rana przenoszono, wśród ciągłej strzelaniny, wszystkie armaty, prochy i zapasy żywności na stary zamek. Ten, iż na opoce był fundowan, dłużej mógł wytrzymać, a zwłaszcza trudniej było pod niego się podkopać. Pan Wołodyjowski mówił, że tu gotów i rok się bronić, byle tylko nikt o układach z Tur-

kami nie mówił. Słowa jego doszły do miasta i wlały niezmierną otuchę w serca, bo wiadano, że mały rycerz słowo zdzierży, choćby życiem miał za to przyplacić.

Opuszczając jednak nowy zamek, podłożono silne miny pod oba wyczółki i front. Miny wybuchły z wielkim hukiem około południa, i oba wyczółki, front i część nowego zamku utworzyły jeden olbrzymi wał gruzów. Gruzy te utrudniały wprawdzie przystęp do starego zamku, ale dawały też doskonałą zasłonę tureckim strzelcom, a co gorzej górnikom, którzy niezrażeni widokiem potężnej skały, wnet nową minę wiercić poczęli. Zamysłał pan Wołodyjowski o wycieczce, lecz zaraz nie można było jej uczynić, bo żołnierze zbyt byli strudzeni. Dragonom porobiły się na prawych ramionach od ustawicznego przykładania kolb sine szarywy, tak wielkie, jak bochny chleba. Niektórzy prawie zupełnie nie mogli ręką poruszyć; tymczasem stało się widoczne, iż jeśli kowanie miny potrwa jeszcze czas jakiś bez przerwy, to główna brama zamkowa niechybnie zostanie wysadzona w powietrze. Przewidując to, pan Wołodyjowski kazał za ową bramą sypać wysoki wał i nie tracąc otuchy, mówił:

— A co mi tam! wyleci brama, to się z wału będziemy bronić; wyleci wał, to przedtem uspiemy drugi—i tak dalej, póki łokieć gruntu będziemy czuć pod nogami.

Lecz pan Potocki, utraciwszy wszelką nadzieję, pytał:

— A gdy i łokcia zbraknie?

— To i nas zbraknie!—odpowiedział mały rycerz.

Tymczasem kazał rzucać na nieprzyjaciela ręczne granaty, które wiele szkód czyniły. Najsprawniejszym

w tej robocie okazał się pan porucznik Dębiński, który bez liku Turków nabił, póki mu zbyt wczesnie zapalony granat nie pękł w rękę i całkiem onej nie urwał. Wielu ginęło od działowego ognia, wielu od ręcznej broni, z której strzelali janczarowie, wśród gruzów nowego zamku ukryci. Przez ten czas z armat zamkowych mało strzelano, czem zaniepokoiłi się wielce w radzie i w mieście. „Nie strzelają, to już widać i sam Wołodyjowski zwątpił o obronie“—mówiono sobie i posłano na zamek do pana Potockiego po wiadomości. Ten, że to zawsze słabego był ducha, odpisał: „Zdaniem mojem, zamek i do wieczora się nie utrzyma, ale tu myślą inaczej.“

Przeczytawszy tę odpowiedź, wszyscy należący do rady resztę ducha stracili i gotowi byli choćby zaraz z Turczynem układy o poddanie Kamieńca rozpocząć, gdyby nie to, że w chwili właśnie, kiedy już nad tem radzić poczynano, otwarły się drzwi i wszedł rażno pan Wołodyjowski i pan Humiecki.

Witano ich radośnie i z niepokojem pytać poczęto, zali naprawdę tak jest źle, że, jak pan generał pisał, do wieczora zamek poddać się będzie musiał.

— Dla Boga! kto tu o poddaniu się wspomina?—zakrzyknął mały rycerz. — Albożeśmy to nie przysięgli Bogu żywemu, że jeden na drugim padniemy a bronić się będziemy?

— Przysięgaliśmy, że to uczynimy, co w mocy naszej i uczyniliśmy wszystko, więcej nie możemy!—ozwał się ktoś z rady.

— Kto co obiecywał, niech za to odpowiada! Jam z Ketlingiem przysięgał, że do śmierci zamku nie damy, i nie damy, bo jeśli ja obowiązany słowa kawalerskie-

go każdemu człowiekowi dotrzymać, to cóż dopiero Bogu!

— No, a jak z zamkiem? Słyszeliśmy, że mina pod bramą? Długoż wytrzymacie?—pytały liczne głosy.

— Mina pod bramą jest, albo będzie, ale też już i wał przed bramą grzeczny jest i hakownice kazałem na niego pozaciągać. Bracia kochani! bójcie się ran Boskich; nie mówcie o poddaniu! Jakiem że to sumieniem chcecie nieprzyjacielowi furtę do kraju otworzyć? kościoły i klasztory w ręce niewiernych oddać! Jać w zamku siedzę i min się nie boję—a wy ich się wmieście, opodał, boicie? Na miły Bóg! nie dajmy się, pókiśmy żywi! Niech pamięć tej obrony pomiędzy potomnymi zostanie, jako zbawiska została!

— Zamek w kupę gruzów Turcy obróć!—odrzekł jakiś głos.

— To niech obróć! Z kupy gruzów też się bronić można!

Tu brakło nieco cierpliwości małemu rycerzowi:

— I będę się z kupy gruzów bronił, tak mi dopomóż Bóg! Wreszcie powiadam wam, zamku nie poddam! Słyszycie?

— I miasto zgubisz?

— Ma-li Turkowi się dostać, to wolę je zgubić! Przysięgnę! Więcej słów nie będę tracił i idę sobie z powrotem między armaty, bo one kraju bronią, a wy go sprzedąć chcecie!

To rzekłszy, wyszedł a za nim Humiecki trzasnął drzwiami na odchodnem i obaj bardzo spieszyli, bo istotnie lepiej im było wśród gruzów, trupów, kul, niż wśród ludzi małej wiary.

Mina pod główną bramą starego zamku wybuchła

wkrótce po przybyciu Wołodyjowskiego. Leciąły cegły, kamienie, wstała kurzawa i dym. Przestrach na chwilę opanował serca kanonierów. Turcy też sypnęli się zaraz do wylomu, jak wyspuje się stado owiec przez otwarte drzwi do owczarni, gdy pastuch napędza je z tyłu biczymi. Lecz Ketling dmuchnął w ową kupę kartaczami z sześciu dział, przygotowanych poprzednio na wale; dmuchnął raz, drugi, trzeci i wymiół ją z podwórca. Wołodyjowski, Humiecki, Myśliszewski, nadbiegli z piechotą i dragonami i pokryli wał tak gęsto, jak muchy pokrywają w upalny dzień letni ścierwo wołu lub konia. Rozpoczęła się teraz walka muszkietów i janczarek. Kule padały na wał nakształt deszczu lub ziarn zboża, które tęgi chłop szuflą w górę wyrzuca. Turcy roili się w gruzach nowego zamku: w każdym dołku, za każdym złamem, za każdym kamieniem, w każdej rozpadlinie ruin, siedziało ich po dwóch, trzech, pięciu, dziesięciu i strzelali bez chwili spoczynku. Od strony Chocimia napływały im coraz nowe posiłki. Pułki szły za pułkami i przypadłszy między gruzy, rozpoczynały natychmiast ogień. Cały nowy zamek był jak wybrukowany głowami tureckimi. Chwilami owe masy głów zrywały się naraz z okropnym wrzaskiem i biegły do wylomu, lecz wówczas Ketling poczynął grać; bas dział głużył grzechotanie samopalów, a stada kartaczów ze świstem i straszliwym furkotaniem miesiły ów tłum, kładły go mostem na ziemię i zamykały wylom drgającymi kupami mięsa ludzkiego. Czterykroć zrywali się janczarowie i czterykroć Ketling odrzucał ich i rozpraszał, jak burza rozprasza chmurę liści. Sam on wśród ognia, dymu, rozprysniętych grud ziemi i pękających granatów, stał, do anioła podobny. Oczy jego utkwione były w wylom, a na

jasnem czole nie było znać najmniejszej troski. Czasem porywał lont od puszkarza i do działa przykładał, czasem osłaniał oczy ręką i na skutek strzału spoglądał, chwilami zaś zwracał się z uśmiechem do polskich oficerów i mówił:

— Nie wejdą!

Nigdy zaciekłość ataku nie rozbiła się o taką furię obrony. Oficerowie i żołnierze szli ze sobą w zawody. Zdawało się, że uwaga tych ludzi zwrócona jest na wszystko, tylko nie na śmierć. A ta kosiła gęsto. Legł pan Humiecki, pan Mokozycki, chwycił się z jękiem za piersi białowłosy pan Kałuszowski, stary Wołodyjowskiego przyjaciel, żołnierz, jak baranek łagodny, a jak lew straszliwy. Wołodyjowski podtrzymał upadającego, ów zaś rzekł: „Daj rękę, daj prędko rękę!“ Poczem dodał: „Chwała Bogu!“ i twarz stała mu się tak biała, jak wąsy i broda. Było to przed czwartym atakiem. Wataha janczarów dostała się wówczas na wyłom. Skoczył ku niej pan Wołodyjowski na czele piechurów i wybito ich w mgnieniu oka do nogi.

Płynęła godzina za godziną, ogień nie słabł. Lecz tymczasem rozniosła się po mieście wieść o bohaterskiej obronie i wznieciła zapał i bojową ochotę. Mieszczanstwo, szczególnie młodsi, poczęli skrzykiwać się po mieście, spoglądać po sobie i zachęcać się wzajemnie. „Pójdziem z pomocą na zamek! Pójdziem! pójdziem! Nie dajmy braciom ginąć! Dalej, chłopcy!“ Takie głosy rozlegały się na rynku, przy bramach i wkrótce kilkuset ludzi, zbrojnych ladajako, ale z odwagą w sercu, ruszyło ku mostowi. Turcy skierowali nań natychmiast straszliwy ogień, tak że wnet usłał się trupami, lecz część prze-

szła i zaraz poczęła z wału przeciw Turkom z wielką ochotą pracować.

Odbito wreszcie ów czwarty atak z tak straszną dla Turków szkodą, iż zdawało się, że musi nadejść chwila wytechnienia. Próżna nadzieja! Grzmot janczarek nie ustał do wieczora. Dopiero gdy noc osłoniła ziemię, armaty umilkły i Turcy opuścili gruzy nowego zamku. Pozostali oficerowie zeszli również z wału na drugą stronę. Mały rycerz, nie tracąc chwili czasu, rozkazał założyć wyłom, czem było można, więc kłodami drzewa, faszyną, gruzem, ziemią. Piechota, dragoni, szeregowcy i oficerowie pracowali na wyścigi, bez różnicy szarży. Spodziewano się, że lada chwila ozwą się znów działa tureckie, ale ostatecznie dzień ów był dniem wielkiego zwycięstwa oblężonych nad oblegającymi, więc wszystkich twarze były jasne, a dusze płonęły nadzieją i chęcią dalszych zwycięstw.

Ketling z Wołodyjowskim, wzięwszy się po ukończeniu roboty pod ręce, obchodzili majdan, mury, wychylali się przez blanki, by spoglądać na dziedzińce nowego zamku i radowali się żniwem obfitem.

— Trup tam leży przy trupie!—rzekł, ukazując na gruzy, mały rycerz — a przy wyłomie stosy takie, że choć drabinę przystawiaj. Ketling! twoich to armat robota.

— Najlepsze to—odrzekł rycerz—iżeśmy tak ów wyłom założyli, że Turcy znów mają dostęp zamknięty i muszą nową minę podkładać. Potęga ich, jako morze, nieprzebrana, ale takie oblężenie, za jaki miesiąc, dwa, musi im się uprzykrzyć.

— Przez ten czas pan hetman z pomocą nam nadą-

ży. Wreszcie, co bądź się stanie, myśmy przysięgą związani—rzekł mały rycerz.

W tej chwili spojrzeli sobie w oczy, poczem Wołodyjowski pytał ciszej:

— A uczyniłeś w piwnicach, com ci powiedział? Bo my musimy być na wszystko gotowi. Ani chwili nie można mieć pewności, że pomimo wszystkiego, pomimo takich dni wścieklej obrony i odpieranych szturmów, jak dzisiejszy, radzie serca nie zbraknie i za naszemi plecami nie rozpocznie z Turczyńcem układów.

— Nie daj-że Bóg — odparł Ketling. — Ja mam wszystko przygotowane, ale przecie myślę, że do tego nie przyjdzie, bo naprawdę możemy się tu jeszcze trzymać bardzo długo i mieć wiele dni takich, jak dzisiejszy.

Dalszą rozmowę przerwał im huk dział. Granaty poczęły znów iść na zamek. Kilka ich pękło w górze i zgłasło natychmiast, nakształt letnich błyskawic.

Ketling popatrzył okiem znawcy.

— Na tym owo szańcu, z którego właśnie strzelają—rzekł—knoty mają przy granatach zanadto wysiarkowane.

— Zaczyna dymić i na innych!—odrzekł Wołodyjowski.

I rzeczywiście tak było. Jak gdy jeden pies ozwie się wśród ciszy nocy, inne poczynają mu wnet wtórować i w końcu cała wieś brzmi szczekaniem—tak jedno działo w szańcach tureckich zbudziło wszystkie sąsiednie i obleżone miasto otoczył wieniec granatów. Tym razem strzelano głównie na miasto, nie na zamek. Natomiast z trzech stron ozwało się kowanie min. Widocznie, mimo iż potężna opoka udaremniała niemal pracę

górników, Turcy postanowili koniecznie wysadzić to skalne gniazdo w powietrze.

Z rozkazu Ketlinga i Wołodyjowskiego poczęto znów ciskać ręczne granaty, kierując się odgłosem kilofów. Lecz po nocy nie można było poznać, czy robią one jaką szkodę oblegającym. Przytem wszyscy zwrócili oczy i uwagę na miasto, na które leciały całe stada płomienistego ptactwa. Niektóre pociski pękały w górze, lecz inne, zakreśliwszy ognistą krzywiznę na niebie, wpadały między dachy domostw. Naraz krwawa luna rozdarła w kilku miejscach ciemności. Płonął kościół świętej Katarzyny, cerkiew świętego Jura, a wkrótce zapłonęła i katedra ormiańska, która zresztą zapalona została jeszcze w dzień, obecnie zaś rozgorzała pod granatami na nowo. Pożar potężniał z każdą chwilą i rozwidniał całą okolicę. Krzyk z miasta dochodził aż do starego zamku. Można było myśleć, że całe miasto się pali.

— Żle to jest—mówił Ketling—bo w mieszczanach serce upadnie.

— Niech wszystko spłonie—odrzekł mały rycerz—byle opoka nie skruszała, z której się bronić można.

Tymczasem krzyk wzmagał się coraz bardziej. Od katedry zajęły się ormiańskie składy kosztownych towarów. Płonęły tam bogactwa wielkie w złocie, srebrze, dywanach, skórach i drogich materyach. Po chwili tu i owdzie języki ognia poczęły się ukazywać nad domami.

Wołodyjowski zatrwożył się wielce.

— Ketling!—rzekł—pilnuj rzucania granatów i psowaj, co się da, przy kowaniu min, ja zasię poskoczę do miasta, bo mi o klasztor, w którym żoniska siedzą, serce

cierpnie. Bogu chwała, że zamek ostawili w spokoju i że się oddalić mogą.

W zamku nie było istotnie w tej chwili wiele do roboty, więc mały rycerz wsiadł na koń i odjechał. Wrócił dopiero po dwóch godzinach.

— A witajże—rzekł Ketling—jużem był niespokojny. Co tam w klasztorze?

— Wszystko dobrze—odrzekł mały rycerz—ni jeden granat tam nie pękł. Miejsce jest zaciszne i bezpieczne.

— To chwała Bogu! A Krzysia się tam nie trwoży?

— Spokojna, jakby u siebie w domu. Obie z Bašką siedzą w jednej celi, a pan Zagłoba z niemi. Ketling, jedź tam teraz, a ja cię tu zastąpię.

Ketling uściskał Wołodyjowskiego, bo go serce bardzo do kochanej Krzysi ciągnęło i zaraz sobie kazał konia podawać. Lecz nim go przyprowadzono, wypytywał jeszcze małego rycerza, co w mieście słychać?

— Mieszczanie gaszą ogień bardzo odważnie—odrzekł mały rycerz—ale bogatsi kupcy ormiańscy, wiedząc, że im się składy palą, wysłali deputację do rady z naleganiem, żeby miasto poddać. Dowiedziawszy się o tem, chociażem sobie obiecywał, że na te narady ich więcej nie pójdę, poszedłem. Tam dałem w pysk jednemu kupcowi, który najbardziej o poddanie nalegał, za co krzywi na mnie byli. Żle, bracie, już tam tchórz coraz bardziej ludzi oblatuje i coraz im tańsza nasza do obrony gotowość. Ganią tam, nie chwalą, bo powiadają, że napróżno miasto narażamy, że przy układach jakoweś korzystne warunki uzyskać będzie można. W to zaś, żebyśmy obronić się zdołali, nikt zgola wierzyć nie chce.

— Dziej się wola Boża!—szepnął Ketling.

A Wołodyjowski ręce załamał.

— I żeby to choć prawda była!—zakrzyknął—ale Bóg świadek, że możemy się jeszcze bronić!

Tymczasem przyprowadzono konia. Ketling począł siadać pośpiesznie, Wołodyjowski zaś rzekł mu na drogę:

— Ostrożnie przez most, bo tam gęsto granaty padają!

— Za godzinę wrócę—rzekł Ketling.

I odjechał.

A Wołodyjowski począł obchodzić mury wraz z panem Muszalskim, którego spotkał niebawem.

W trzech miejscach ciskano ręczne granaty, bo w trzech miejscach odzywało się kowanie. Po lewej stronie zamku kierował tą robotą stary wachmistrz Luśnia.

— A jak tam idzie?—spytał Wołodyjowski.

— Żle, panie komendanciel—odrzekł wachmistrz—juchy już w skale siedzą i ledwie przy wejściu czasem którego skorupa zawadzi. Niewieleśmy wskórali...

W innych miejscach szło jeszcze gorzej, tembardziej, że niebo się zasępiło i począł padać deszcz, od którego zamakały knoty w granatach. Ciemność zawadzała także robocie.

Wołodyjowski odprowadził pana Muszalskiego nieco na stronę i zatrzymawszy się, rzekł nagle:

— Słuchaj waćpan! A żebyśmy tak popróbowali onych kretów w norach wydusić?

— Widzi mi się: śmierć to pewna, bo przecie całe pułki janczarskie ich strzegą! Ale popróbujmy!

— Pułki strzegą, prawda, ale noc bardzo ciemna i łatwo ich konfuzya ogarnie. A pomyśl-no waćpan:

w mieście o poddaniu myślą; dlaczego? bo mówią: „Miny pod wami, nie obronicie się! Tożby im się gęby zamknęły, gdyby tak jeszcze dziś w nocy posłać z wieścią: „Niemasz już min!“ Dla takiej sprawy warto-li głową nałożyć, czy nie warto?

— Warto! dalibóg, warto!

— W jednym miejscu niedawno zaczęli kować— rzekł Wołodyjowski—i tych ostawim w spokoju, ale ot, z tej i tamtej strony bardzo już się wryli. Weźmiesz waść pięćdziesięciu dragonów, wezmę ja tyłuż i popróbujęm ich przydusić. Masz waść ochotę?

— Ano jest, jest! rośnie, rośnie! Wezmę za pas kilka gwoździ zadzierzystych do gwożdżenia armat, może się w drodze na jaką hakownicę natknem.

— Czy się natknem, wątpię, choć kilka hakownic blisko stoi, ale weź waść. Poczekamy tylko na Ketlinga, bo on lepiej od innych będzie wiedział, kiedy nam przyjdzie z pomocą.

Ketling przyjechał, jak obiecał, jednej minuty nie chybił, a w pół godziny potem dwa oddziały dragonów, po pięćdziesiąt ludzi każdy, zbliżyły się do wyłomu i zaczęły się przeslizgiwać cicho na drugą stronę. Potem znikli w ciemności. Ketling kazał rzucać jeszcze czas jakiś granaty, ale krótko, wreszcie zawiesił robotę i czekał. Serce biło mu niespokojnie, bo rozumiał dobrze, jak zuchwałe jest to przedsięwzięcie. Upłynął kwadrans, pół godziny, godzina, zdawało się, że już powinni byli dojść i poczynać, tymczasem, przyłożywszy ucho do ziemi, można było doskonale słyszeć spokojne kowanie.

Nagle, u stóp zamku, ozwał się z lewej strony wystrzał pistoletowy, który zresztą w wilgotnem powietrzu i wobec strzelaniny z szanów, nie rozległ się zbyt

głośno i byłby może przebrzmiał bez zwrócenia na się uwagi załogi, gdyby nie wrzawa straszliwa, jaka nastąpiła zaraz. „Doszli!—pomyślał Ketling—ale czy wróca?“ A tam zagrzmiały krzyki ludzkie, warczenie bębnow, świst piszczałek, wreszcie grzmot janczarek, pośpieszny, a bardzo bezładny. Strzelano ze wszystkich stron i tłumnie; widocznie całe oddziały nadbiegły w pomoc górnikom, lecz, jak przewidywał pan Wołodyjowski, powstał zamęt i konfuzyja ogarnęła janczarów, którzy w obawie, aby wzajem się nie razić, obwoływali się wielkimi głosami, paląc na oślep i po części w górę. Wrzaski i strzelania wzmagały się z każdą chwilą. Z szanów poczęto ciskać na mury granaty, aby rozwidnić ciemność. Ketling odpowiedział kartaczami. Rozgorzały aprosze turckie, rozgorzały mury. W mieście poczęto bić na trwożę, powszechnie bowiem było mniemanie, że Turcy wdzierali się już do fortecy. Noc sprzyjała zuchwałemu przedsięwzięciu pana Wołodyjowskiego i Muszalskiego, bo zrobiło się bardzo ciemno. Wystrzały armatnie i granaty roździerały tylko na chwilę pomrokę, która potem stawała się jeszcze czarniejszą. Nakoniec upusty niebieskie otworzyły się nagle i poczęły lać potoki deszczu. Grzmoty zgłuszyły strzelaninę i zataczając się kołem, dudniąc, huczając, budziły straszne echa w skałach. Ketling zeskoczył z wałów, pobiegł na czele kilkunastu ludzi do wyłomu i czekał.

Lecz nie czekał już długo. Wkrótce ciemne postacie zaroily się między belkami, któremi zasłonięty był otwór.

— Kto idzie?—krzyknął Ketling.

— Wołodyjowski!—brzmiała odpowiedź.

I dwaj rycerze padli sobie po chwili w objęcia.

— Cóż? jak tam?—pytali oficerowie, których coraz więcej zbiegało się do wylomu.

— Chwała Bogu! górnicy wybici do nogi, narzędzia ich połamane i rozrzucone. Na nic ich robota!

— Chwała Bogu! chwała Bogu!

— A Muszalski ze swoimi jest już?

— Niemasz go jeszcze.

— Możeby skoczył im w pomoc? Mości panowie! komu wola?

Ale w tej chwili wylom zaroił się na nowo. To ludzie Muszalskiego wracali z pośpiechem i w znacznie zmniejszonej liczbie, bo ich siła od kul poległo. Wracali jednak radośnie, bo z równie pomyślnym skutkiem. Niektórzy żołnierze poprzynosili oskardy, świdy, kilofy do łamania skały, na dowód, że byli w samej minie.

— A gdzie pan Muszalski?—spytał Wołodyjowski.

— Prawda! Gdzie pan Muszalski?—powtórzyło kilka głosów.

Ludzie z pod komendy przesławnego łucznika poczęli na się spoglądać, wtem jeden dragon, mocno ranny, ozwał się słabym głosem:

— Pan Muszalski poległ. Widziałem, jak padł, ja też padłem koło niego, ale się podniosłem, on zaś ostał...

Wielka boleść odbiła się na twarzach żołnierzy, na wieść o śmierci niezrównanego łucznika. Wypytywano jeszcze dragona, jak się to stało, lecz on odpowiadać nie mógł, gdyż krew ciurkiem z niego uchodziła, a nareszcie zwałił się, jak snop, na ziemię.

Rycerze zaś biadać poczęli z żalu po panu Muszalskim. Ale długo trwać to nie mogło, bo wszystkich służba wzywała do czynu. Żołnierze wnet skoczyli znów na wały, a pan Wołodyjowski pchnął gońca do miasta z wia-

domością do rady, że miny popsowane, a górnicy przez wycieczkę pobici. Z wielkiem zdumieniem przyjęto tę nowinę w mieście, ale—któżby się spodziewał!—i z niechęcią. W radzie utrzymywano, że te chwilowe zwycięstwa tylko sprawę pogorszą, bo Turczyzna rozdrażnią gorzej i trudniejszym do ustępstw uczynią. I tak mniemając, postanowiono nie przestawać z nieprzyjacielem traktatów prowadzić.

Lecz ani pan Wołodyjowski, ani Ketling, nie przypuszczali nawet na chwilę, aby taki tylko skutek miały wyrzucić przysłane przez nich szczęsne wieści. Byli owszem pewni, że teraz otucha wstąpi w najślabsze serca i wszyscy nową ochotą do zacieklego oporu rozgorzeją. Bo miasta niepodobna było wziąć, nie zdobywszy najpierw zamku, więc jeśli zamek nietylko się opierał, ale w dodatku gromił, oblężeni nie mieli najmniejszej potrzeby uciekać się do układów. Zapasów był dostatek, prochów także; wobec tego należało tylko pilnować bram i gasić pożary w mieście.

Podczas całego oblężenia była to najradośniejsza noc dla małego rycerza i dla Ketlinga. Nigdy nie mieli tak wielkiej nadziei, że i sami wyjdą zdrowo z tych tureckich obieży i najdroższe głowy wyprowadzą.

— Jeszcze parę szturmów—mówił mały rycerz— a jak Bóg na niebie, Turcy się zniechęcą i głodem nas będą chcieli zniewolić. A owoż zapasów jest dość. Wrzesień ci to zresztą za pasem; za dwa miesiące poczną się słoty i zimna, niezbyt to wytrzymałe wojska; niech raz dobrze przemarzną, to i odejdą.

— Wielu ich z krain gorących pochodzi—odrzekł Ketling—i tych lada zamróż zwarzy. Dwa miesiące, w najgorszym razie, nawet przy szturmach, wytrzyma-

my. Niepodobna też przypuścić, aby żadna odsiecz nie przyszła. Choćby zaś pan hetman wielkiej potęgi nie zebrał, to podjazdami będzie Turków gnębił.

— Ketling! tak mi się widzi, że nie wybiła jeszcze nasza ostatnia godzina.

— W mocy to Bożej, ale i mnie się tak widzi, że do tego nie przyjdzie.

— Chybaby który poległ, jak pan Muszalski. A no! trudna rada! Szkoda mi okrutna pana Muszalskiego, choć kawalerską poległ śmiercią!

— Nie daj nam Boże gorszej, byle nie zaraz, bo powiem ci, Michał, iż żal, by mi było teraz... życia.

— Ba, i mnie! No! pracuję szczerze, ale też miłosierdzie jest nad nami. Okrutnie mi jakoś wesoło w duszy! Trzeba będzie i jutro czegoś znacznego dokonać!

— Turcy porobili drewniane zasłony z belek na szańcach. Obmyśliłem taki sposób, jaki bywa do zapalania okrętów używany: szmaty moczą się już w smołę i mam nadzieję, że jutro do południa spalę te wszystkie roboty.

— Ha!—rzekł mały rycerz.—To ja wycieczkę prowadzę. Przy pożarze i tak się uczyni zamieszanie, a przytem w dzień do głowy im nie przyjdzie, by wycieczka mogła nastąpić. Jutro może być lepsze, niż dziś, Ketling...

Tak to oni rozmawiali, mając serca wezbrane, poczem udali się na spoczynek, bo wielce byli znużeni. Lecz mały rycerz nie spał i trzech godzin, gdy rozbudził go wachmistrz Luśnia.

— Panie komendancie, nowiny są!—rzekł.

— Co tam?—zawołał czujny żołnierz, zrywając się w jednej chwili na równe nogi.

— Pan Muszalski jest!

— Dla Boga! co powiadasz?

— Jest! Stałem przy wylomie, wtem słyszę woła ktoś z drugiej strony po naszymu: „Nie strzelać, to ja!“ Patrzę, aż tu pan Muszalski, za janczara przebrany, wraca!

— Bogu chwała!—zawołał mały rycerz.

I skoczył witać łuczника. Dniało już. Pan Muszalski stał z tej strony wału w białej kapuzie i karacenie, tak do prawdziwego janczara podobny, że oczom nie chciało się wierzyć. Ujrzawszy małego rycerza, skoczył ku niemu i poczęli się witać radośnie.

— Jużemy waści oplakali!—zawołał pan Wołodyjowski.

Wtem nadbiegło kilku innych oficerów, między nimi Ketling. Wszyscy zdumiewali się nadwyzczajnie, potem jęli wypytywać na wyścigi łucznika, jakim sposobem w tureckim przebraniu się znalazł, ów zaś zabrał głos i tak mówił:

— Przewróciłem się, wracając, przez janczarskiego trupa i głową o kulę leżącą wyciąłem, a choć czapkę miałem drutem przesywaną, zamroczyło mnie zaraz. Obudziłem się niedługo potem. Patrzę, leżę ci ja na janczarze, jak na łóżku. Macam głowę, boli nieco, ale nawet i guza niema. Zdjąłem czapkę, deszcz mi wychłodził czuprynę i myślę sobie: dobra nasza! Wtem przyszło mi do głowy: nużbym z owego janczara moderunek cały zdjął i między Turków poszedł? Przecie ja po turecku tak, jak po polsku, gadam i nikt mnie po mowie nie po-

zna, z gęby też janczara nie odróżnić? Pójdę, posłucham, co gadają. Strach chwilami brał, bo mi się dawna niewola przypominała, alem poszedł. Noc ciemna, ledwie się tam gdzie niegdzie świeciło, to, powiadam waściom, zem tak sobie między nimi chodził, jak między swoimi. Wielu z nich w rowach pod przykrywkami leżało; poszedłem i tam. Ten i ów mnie pyta: „Czego się włóczysz?” a ja na to: „Bo mi się spać nie chce!” Inni też gwarzyli kupami o obłążeniu. Zniechęcenie między nimi wielkie. Na własne uszy słyszałem, jak na obecnego tu naszego chreptiowskiego komendanta wyrzekali. (Tu pan Muszalski skłonił się Wołodyjowskiemu). Powtórzę ich własne słowa, bo to przecie wraża przygana na największą pochwałę wychodzi: „Dopóki— mówili—ten mały pies (tak psu braci waszą mość nazywali), dopóki ten mały pies zamku broni, nie zdobędziem go nigdy.” Inni mówili: „Jego się kula i żelazo nie ima, a śmierć od niego na ludzi wieje, jak zaraza.” Tu poczęli wszyscy w kupie narzekać: „My jedni się bijem (prawią), a inne wojska nic nie robią! Nam sułtan mówi: „Moi mili barankowie,“ ale widać nie bardzo jesteśmy mili, skoro nas tu na jatki przyprowadzono. Wytrzymamy (prawią), ale niedługo, potem zaś do Chocimia się wrócim, a jeśli pozwolenstwa nie dostaniem, to mogą i jakie znaczne głowy spaść z karków w ostatku.“

— Słyszycie waszmościowie! — krzyknął Wołodyjowski. — Gdy się janczary zbuntują, wraz się sułtan przelęknie i obłążenia zaniecha!

— Jak mi Bóg miły, tak szczerą prawdę powiadam!—mówił pan Muszalski.—Między janczarami o bunt nie trudno, a już im bardzo mrućno. Tak myślę, że jesz-

cze jednego, albo dwóch szturmów spróbują, a potem zęby na janczar-agę, ba! na samego sułtana wyszczerzą.

— Tak będzie!—zawołali oficerowie.

— Niech spróbują jeszcze i dwudziestu szturmów!—mówili inui.

I poczęli w szable trzaskać, rozpalonemi oczyma ku szancom spoglądać i sapać.

Lecz pan Muszalski zabrał głos na nowo:

— Oto, com słyszał. Żal mi było odchodzić, bo mogłem więcej usłyszeć, alem się bał, że mnie dzień zaskoczy. Poszedłem tedy ku szancom, z których nie strzelano, żeby się w pomroce przemknąć. Patrząc, aż tam nie ma porządnych straży, jeno kupami janczarowie się włóczą, jako i wszędzie. Podchodzę do srogiej armaty, nikt nie woła. A to pan komendant wie, zem zabrał ze sobą na wycieczkę zadziory do gwożdżenia armat. Wsunę prędko jeden w zapal—nie lezie, bo, chcąc żeby wlaź, trzeba młotkiem uderzyć. Ale że to Pan Bóg niejaką siłę w rękę dał, kiedy nie przycisnę dłonią, zazgrzytało trochę, ale gwoździe wlaź po głównię!...

— Dla Boga! waćpan to uczynił? waćpan wielką armatę zagwoździł?—pytano ze wszystkich stron.

— Uczyniłem i to i drugie, bo jak gładko poszło, znowu żal było odchodzić i poszedłem do drugiego działka. Boli trochę ręka, ale gwoździe wlaży.

— Mości panowie! — zawołał Wołodyjowski — nikt tu większej rzeczy nie dokazał, nikt się taką sławą nie okrył! Vivat pan Muszalski.

— Vivat! vivat!—powtórzyli oficerowie.

Za oficerami poczęli krzyczeć żołnierze. Usłyszeli w szancach te okrzyki Turcy i zlekli się—i tembardziej

im serca ubyło; łucznik zaś kłaniał się, pełen radości, oficerom i pokazując swą potężną, do łopaty podobną dłoń, na której widać było dwie sine plamy, mówił:

— Dalibóg, prawda! Macie waćpanowie świadectwo.

— Wierzym!—wołali wszyscy.— Chwalić Boga, żeś nam szczęśliwie wrócił!

— Przemknąłem się przez belkowanie—odparł łucznik.—Chciało się owe roboty podpalić, ale nie było czem.

— Wiesz co Michał—zawołał Ketling—moje szmaty gotowe. Zacznę ja o tem belkowaniu myśleć. Niech wiedzą, że pierwsi zaczepiamy!

— Poczynaj! poczynaj!—krzyknął Wołodyjowski.

Sam zaś skoczył i wysłał nową wiadomość do miasta:

„Pan Muszalski na wycieczce nie zabit, bo wrócił, dwa wielkie działa zagwoździwszy. Był między janczarami, którzy o buncie zamyślają. Za godzinę spalimy belkowania, a jeśli będzie można przytem wyskoczyć, wyskoczę.“

Jakoż goniec nie przebiegł jeszcze przez most, gdy mury zadrżały od huków dział. Zamek pierwszy tym razem rozpoczynał grzmiącą rozmowę. W białym świetle poranku leciały płomienne płachty, naksztalt płonących chorągwi i padały na belkowanie. Nie pomogła nic wilgoć, którą nocny deszcz nasycił drzewo. Belki zajęły się wkrótce i poczęły się palić. Za płachtami jał sypać Ketling granaty. Znużone tłumy janczarów opuściły w pierwszej chwili szanice. Nadjechał sam wezyr z nowymi zastępami wojsk, lecz zwątpienie wkradło się widocznie i do jego serca, bo słyszano, jak mruczał:

— Milsza im bitwa, niż spoczynek! Co to za ludzie w tym zamku mieszkają?

W wojsku zaś słychać było na wszystkie strony trwożne głosy, powtarzające:

— Mały pies kąsać poczyna! Mały pies kąsać poczyna!

ROZDZIAŁ XII.

A gdy przeszła owa szczęśliwa noc, pełna wróżb zwycięstwa, nastał po niej dzień 26 Sierpnia, który stał się przeważnym w dziejach onej wojny.

Z zamku oczekiwano jakiegoś wielkiego wysiłku ze strony tureckiej. Jakoż o wschodzie słońca rozległo się znów kowanie po lewej stronie zamku, tak głośnie i silne, jak nigdy dotąd. Widocznie Turcy wiercili z pośpiechem nową minę, najpotężniejszą ze wszystkich. Wielkie oddziały wojsk strzegły opodal tej roboty. Na szańcach mrowie poczęło się ruszać.

Jako się rzekło, zamek pierwszy rozpoczął armatnią rozmowę i tak skutecznie, że chwilowy popłoch powstał w szańcach. Lecz sprawiono napowrót w mgnieniu oka janczarów, jednocześnie zaś ozwały się wszystkie tureckie działa. Leciały kule, granaty, kartacze; leciał na głowy broniących się gruz, cegły, tynk; dym pomieszał się z kurzawą, żar ognia z żarem słonecznym. Piersiom brakło powietrza, oczom widoku; huk armat,

pękanie granatów, zgrzyt kul po kamieniach, wrzaski tureckie, okrzyki obrońców, utworzyły jedną straszliwą kapelę, której do wtóru brzmiały echa skał. Zасыpywano pociskami zamek, zasypywano miasto, wszystkie bramy, wszystkie baszty. Lecz zamek bronił się zaciekle, piorunami na pioruny odpowiadał, trząsał się, świecił, dymił, huczał, ział ogniem, śmiercią i zniszczeniem, jakby się zapamiętał wśród płomieni, jakby chciał zgłuszyć tureckie gromy i w ziemię się zapaść lub zwyciężyć.

Wśród zamku, wśród leżących kul, ognia i kurzawy i dymu, mały rycerz rzucił się od działa do działa, od jednych murów do drugich, od rogu do rogu, sam do niszczącego płomienia podobny. Zdawał się dwoić i troić; był wszędzie, zachęcał, krzyczał; gdzie padł kanonier, tam on go zastępował—i wławszy otuchę w piersi, znów biegł gdzieindziej. Zapał jego udzielił się żołnierzom. Uwierzyli, iż to ostatni szturm, po którym spokój i sława nastąpi — wiara w zwycięstwo przepelniała ich piersi, serca stały się twarde i zaciekle, szła bojowy ogarnął umysł. Okrzyki i wyzywania wrywały się co chwila z ich gardzieli. Niektórych chwytala taka wściekłość, iż darli się za mury, by zblizka zczepić się z janczarami.

Owi dwakroć, pod zasłoną dymów, poszli zbitą masą do wyłomu i dwakroć, wymościwszy ciałami ziemię, cofnęli się w popłochu. O południu pchnięto im w pomoc masy pospolitego ruszenia, lecz mało ćwiczone tłumy, choć popędzane z tyłu włóczniami, wyły tylko okropnymi głosami i nie chciały iść przeciw zamkowi. Lada chwila groził powszechny popłoch, więc w końcu ludzi cofnięto i tylko działa po staremu pracowały bez wy-

tehnienia, miotając grom za gromem, błyskawicę za błyskawicą.

Tak upływały całe godziny. Słońce już zeszło z zenitu i spoglądało na ową walkę bezpromienne, czerwone, zadymione. Około trzeciej z południa huk dział doszedł do takiej potęgi, iż najgłośniej krzyczanych w ucho słów nie można było w murach dosłyszeć. Powietrze stało się w zamku gorące, jak w piecu. Woda, którą polewano rozpalone działa, buchała z nich parą, mieszając się z dymem i przesłaniając świat, lecz działa grzmiały ciągle.

Zaraz po trzeciej rozbito dwie największe kolubryny tureckie. Moździerz, stojący obok nich, pękł uderzony faskulą, w kilka pacierzy później. Kanonierowie ginęli, jak muchy. Z każdą chwilą stawało się widoczniejszym, że ów niepohamowany zamek bierze górę w walce, że przekrzyczy tureckie grzmoty i że on będzie... zwycięzcą.

Ogień turecki począł zwolna słabnąć.

— Koniec będzie!—krzyknął z całych sił Wołodyjowski w ucho Ketlinga, chcąc, aby go ten wśród huków dosłyszał.

— I ja tak myślę!—odrzekł Ketling.—Do jutra, czy na dłużej?

— Może na dłużej. Dziś przy nas zwycięstwo!

— I przez nas!

— O tej nowej minie musimy pomyśleć.

Ogień turecki słabł jeszcze bardziej.

— Bij dalej z dział!—zawołał Wołodyjowski.

I skoczył między kanonierów.

— Ognia, chłopcy!—krzyknął—póki ostatnie dział

tureckie grać nie przestanie! Na chwałę Bogu i Przenajświętszej Pannie! na chwałę Rzeczypospolitej!

Żołnierze zaś widząc, że i ten szturm ma się już ku końcowi, odpowiedzieli na słowa jego radosnym okrzykiem i z tym większym zapalem poczęli walić ku szansom tureckim.

Nagle stało się coś dziwnego. Oto wszystkie działa tureckie zamilkły odrazu, jakby kto nożem uciął. Zamilkły również grzechot janczarek w nowym zamku. Stary zamek grzmiał jeszcze czas jakiś, lecz w końcu poczęli oficerowie spoglądać po sobie i pytać się wzajemnie:

— Co to jest? co się stało?

Ketling, zaniepokojony nieco, powstrzymał również strzelanie. Jeden z oficerów ozwał się wówczas głośno:

— Chyba mina jest pod nami, którą zaraz podpalą!..

Wołodyjowski przeszył mówiącego groźnym wzrokiem.

— Mina nie gotowa, a choćby była gotowa, wyleci od niej tylko lewa strona zamku—i z gruzów będziemy się bronili, póki tchu w nozdrzach—rozumiesz waś?

Poczem nastąpiła cisza. Nie zmącił jej ani jeden wystrzał, ni z szanów, ni z miasta. Po grzmotach, od których trzęsły się mury i ziemia, było w tej ciszy coś uroczystego, ale zarazem i złowrogiego. Oczy wszystkich wyteżały się z szanów, lecz z za chmury dymu nic nie było widać.

Nagle rozległy się od lewej strony miarowe uderzenia kilofów.

— Mówiłem, że minę kuja dopiero!—ozwał się Wołodyjowski.

Lecz wtém straszny niepokój nim zawładnął. Czyż-

by to miały być skutki ciągłych układów rady z nieprzyjacielem, o których wiedział, że ich nie zaprzestano? Czyż i te zwycięstwa ostatnich dni nie zdołały wlać otuchy w serca i wiary w możliwość obrony? Na tę myśl krew krzepła mu w żyłach!

Zwrócił się nagle ku Luśni.

— Wachmistrz! weźmiesz dwudziestu ludzi i wyjrysz mi na nowy zamek.

Nastało znów milczenie, przerywane tylko odzywającym się tu i owdzie chrapaniem konających, a także odgłosem kilofów.

Czekano dość długo, wreszcie wachmistrz zjawił się z powrotem.

— Panie komendancie — rzekł — w nowym zamku niema żywej duszy.

Wołodajowski z wyrazem bolesnej niepewności i pytania spojrział na Ketlinga.

Lecz wtem dymy, zwiewane powiewem, zrzędy i opona ich przedarła się nad miastem. W tej samej chwili jakiś głos okropny i przerażony począł krzyżeć z baszty:

— Nad bramami białe chorągwie! Poddajem się!

Usłyszawszy to, żołnierze, oficerowie, w mgnieniu oka zwrócili się ku miastu. Straszliwe zdumienie odbiło się na twarzach, słowa zamarzyły wszystkim na ustach i przez smugi dymu patrzyli ku bramom.

A w mieście, na bramie Ruskiej i Lackiej, powiewały istotnie białe chorągwie, jako znak poddania się nieprzyjacielowi, dalej widać było jeszcze jedną na baszcie Batorego.

Wówczas twarz małego rycerza stała się tak białą, jak te chorągwie, kolebiące się na wietrze.

— Ketling, widzisz? — szepnął, zwracając się do przyjaciela.

Ketlingowi także twarz pobladła.

— Widzę — rzekł.

I czas jakiś patrzyli sobie w oczy, mówiąc niemi wszystko, co mogli powiedzieć tacy dwaj żołnierze bez płamy i bojaźni, którzy nigdy w życiu nie złamali słowa, a którzy przed ołtarzem przysięgli w pierw zginąć, niżby mieli zamek poddać. I oto teraz, po takiej obronie, po takiej walce, po odbitym szturmie i po zwycięstwie, kazano im złamać przysięgę, wydać zamek i żyć!

Jak niedawno złowrogie kule przelatowały nad zamkiem, tak teraz złowrogie myśli przelatowały im tłumem przez głowę. I żal ściszał im serca poprostu bezmierny, żal dwóch kochanych istot i żal życia i szczęścia, więc spoglądali na się, jak błędni, jak martwi, a czasem zwracali wzrok pełen rozpaczki ku miastu, jakby się chcąc przekonać, czy ich oczy nie zwodzą i czy istotnie godzina wybiła.

A tymczasem od strony miasta zatętniały kopyta końskie i po chwili wpadł Horaim, rękodajny młodzian pana generała podolskiego.

— Rozkaz do komendanta! — krzyknął, osadzając bachmata.

Wołodajowski wziął rozkaz, przeczytał go w milczeniu i po chwili, wśród grobowej ciszy, ozwał się do oficerów:

— Mości panowie! Komisarze przejechali czółnem rzekę i udali się do obozu tureckiego dla podpisania ugody. Za chwilę będą tędy wracać... Do wieczora mamy wyprawić wojsko z miasta, a białą chorągiew zatknąć w tej chwili...

Nikt nie ozwał się słowem. Słysząc było tylko szybkie oddechy, głowy pochyliły się ku ziemi, jakby pod nadmiernym ciężarem smutku.

Po chwili, tu i owdzie, ozwały się ciche słowa komendy. Żołnierze poczęli się zwierzać w szeregi i brać na ramię broń. Dźwięk muszkietów i miarowe ich stąpanie budziły echa w milczącym zamku.

Ketling przysunął się do Wołodyjowskiego.

— Czas?— spytał.

— Czekaj na komisarzy, dowiemy się warunków... Wreszcie ja sam zejść do lochów.

— Niel ja zejść, ja lepiej je znam i wiem, gdzie co jest.

Dalszą rozmowę przerwały mu głosy wołające:

— Komisarze wracają! komisarze wracają!

Jakoż po jakimś czasie trzech nieszczęśliwych wysłańcy ukazali się na zamku. Szli ponuro z pospuszczanymi głowami.

Wołodyjowski czekał ich, oparty o ciepłe jeszcze i dymiące działo, skierowane ku szancom tureckim. Wszyscy trzej powitali go w milczeniu, a on spytał:

— Jakie warunki?

— Miasto nie będzie rabowane, mieszkańcom życie i mienie zapewnione. Każdy, kto nie chce zostać, ma prawo wyjść i udać się, gdzie mu się będzie podobało.

— A Kamieniec?

Komisarze pospuszczali głowy.

— Na sułtana... po wiek wieków!...

Poczem odeszli i skierowali się ku miastu.

Pan Wołodyjowski zaś, sprawiwszy wojsko, przywołał pana Muszalskiego i rzekł mu:

— Stary przyjacielu, oddajże mi jedną przysługę: idź zaraz do żony i powiedz jej odemnie...

Tu głos uwiązł na chwilę w gardle małemu rycerzowi.

— I powiedz jej odemnie: Nic to!— dodał prędko.

Łucznik odszedł. Za nim wychodziło powoli wojsko. Wołodyjowski siadł na konia i czuwał nad wymarszem. Zamek opróżniał się, ale marudnie, z przyczyny zawadzającego gruzu i złomów.

Ketling zbliżył się do małego rycerza.

— Schodź!— rzekł, zaciskając zęby.

— Idź, jeno zwlecz, póki wojsko nie wyjdzie... Idź!..

Tu wzięli się w ramiona i przez pewien czas tak trwali. Oczy obydwom błyszczały nadzwyczajnym światłem... Ketling skoczył wreszcie w kierunku lochów...

Wołodyjowski zaś zdjął hełm z głowy: chwilę spoglądał jeszcze na ruinę, na to pole chwały swojej, na gruzy, trupy, odłamy murów, na wał i na działa, następnie, podniósłszy oczy w górę, począł się modlić...

Ostatnie jego słowa były:

— Daj jej, Panie, moc, by zaś cierpliwie to zniosła, daj jej spokój!..

Ach!.. Ketling pospieszył się, nie czekając nawet na wyjście regimentów: bo w tej chwili zakołysały się bastiony, huk straszliwy targnął powietrzem: blanki, wieże, ściany, konie, działa, żywi i umarli, masy ziemi— wszystko to, porwane w górę płomieniem, pomieszane, zbite jakby w jeden straszliwy ładunek, wyleciało w powietrze.

* * *

Tak zginął Wołodyjowski, bohater kamieniecki, pierwszy żołnierz Rzeczypospolitej.

* * *

W kolegiacie stanisławowskiej stał na środku kościoła wysoki katafalk, rzęsiście obstawiony świecami, a na nim leżał w dwóch trumnach, ołowianej i drewnianej, pan Wołodyjowski. Wieka były już zabite i właśnie odprawiano pogrzeb. Życzeniem serdecznym wdowy było, by ciało spoczęło w Chreptowie, lecz że całe Podole było w rękach nieprzyjacielskich, więc tymczasowo miało je pochować w Stanisławowie, do tego bowiem miasta zostali odesłani pod konwojem tureckim kamienieccy obłączeni i tu oddani w ręce wojsk hetmańskich.

Wszystkie dzwony były w kolegiacie. Kościół wypełniony był tłumem szlachty i żołnierzy, którzy ostatni raz chcieli rzucić okiem na trumnę „bohatera kamienieckiego“ i pierwszego Rzeczypospolitej kawalera. Szepotano, że sam hetman ma na pogrzeb przyjechać, że jednak nie było go dotąd widać, a lada chwila mogli nadejść czambułem Tatarzy, przeto postanowiono nie składać ceremonii.

Starzy żołnierze, przyjaciele albo podkomendni nieboszczyka, stanęli wieńcem koło katafalka. Dziwnym trafem nie brakło prawie nikogo z tych, którzy niegdyś zasiadali wieczorami ławy przy ognisku chreptowskiem; wszyscy wynieśli cało głowy z tej wojny, tylko ów, który im był wzorem i wodzem, ów rycerz dobry i sprawiedliwy, straszny dla nieprzyjaciół, słodki dla swoich,

tylko ów szermierz nad szermierze z sercem gołębia—leżał oto wysoko, wśród światła, w chwale niezmiernej, ale w ciszy śmierci. Zatwardziałe przez wojnę serca kruszyły się z żalu na ów widok; żółte błyski od świec oświecały srogie, strapione twarze wojowników i odbijały się błyszczącymi skrami we łzach płynących z oczu. Wśród żołnierskiego koła leżała krzyżem na podłodze Basia, a obok niej stary, zniedołęzniały, złamany i trzęsący się pan Zagłoba. Ona tu przybyła piechotą z Kamieńca, za wozem wiozącym najdroższą trumnę, a teraz właśnie przyszła chwila, że trzeba było tę trumnę oddać ziemi. Przez całą drogę, idąc nieprzytomna, jakby nie do tego świata należąca — i teraz, przy tym katafalku, powtarzała bezświadomymi ustami: „Nie to!“—powtarzała, bo tak jej kazał ten ukochany, bo to były ostatnie wyrazy, które jej przesłał; ale w tem powtarzaniu i w tych wyrazach były tylko dźwięki bez treści, bez prawdy, bez znaczenia i otuchy. Nie „nie to“ było, jeno żal, ciemność, rozpacz i martwota, jeno nieszczęście niepowrotne, jeno życie zabite i złamane, jeno błędna świadomość, że niema już nadziei, a jest jeno pustka i będzie pustka, którą wypełnić może jeden Bóg, gdy śmierć ześle.

Dzwony były; u wielkiego ołtarza kończyła się msza. Nakoniec zabrzmiał wysoki, jakby z otchłani wychodzący głos księdza: „Requiescat in pace!“ Drgania febryczne wstrząsnęły Basią, a w nieprzytomnej głowie zerwała się tylko jedna myśl: „Już, już mi go zabiorą!“ Lecz nie był to jeszcze koniec ceremonii. Rycerstwo przygotowało liczne mowy, które miały być wypowiedziane przy spuszczeniu trumny w dół, tymczasem zaś wyszedł na ambonę ksiądz Kamiński.

Ledwie przebrzmiały ostatnie słowa jego mowy, rum


uczynił się przy drzwiach i do kościoła wszedł pan hetman Sobieski. Oczy wszystkich zwróciły się na niego, dreszcz wstrząsnął ludźmi, a on szedł z brzękiem ostróg ku katafalkowi, wspaniały, ogromny...

Zastęp żelaznego rycerstwa szedł za nim.

— Zbawca! — krzyknął w proroczym uniesieniu ksiądz.

A on klęknął przy katafalku i począł się modlić za Wołodyjowskiego.

ZAKOŃCZENIE.

 rok przeszło po upadku Kamieńca, poszedł wielki hetman Sobieski w trzydzieści jeden tysięcy jazdy i piechoty w ziemie sultańskie pod Chocim, by pomścić wszystkie dawne krzywdy i zniszczyć potężniejsze nierównie zastępy wojsk Husseina baszy, stojące pod tym zamkiem.

Imię pana Sobieskiego było już straszne nieprzyjacielowi. Przez ów rok po upadku Kamieńca, mając zaledwie kilka tysięcy wojska, tyle dokazał, tak poszarpał niezliczoną armię padyszacha, tyle wygniół czambułów, tak wielkie odbił tłumy jassyru, że stary Hussein, lubo liczbą wojsk potężniejszy, lubo na czele wyborowego komuniku stojący, nie śmiał hetmanowi stawić czoła w otwartem polu i w warownym postanowił się bronić obozie.

Hetman otoczył wojskami ów obóz i wiadomem było powszechnie, iż chce wstępnym bojem go zdobyć. Myśleli wprawdzie niektórzy, iż niesłychane to jest w dziejach wojen przedsięwzięcie, by z mniejszą siłą porwać

się na większą, której w dodatku wały i rowy broniły. Hussein miał sto dwadzieścia dział, w całym zaś polskim obozie było ich tylko pięćdziesiąt. Lecz hetman wierzył w swoją gwiazdę, urok swego imienia i nakoniec w woj-ska, które prowadził.

Szły bowiem pod nim pułki doświadczone i harto-wne w ogniu, ludzie, którzy od dziecinnych lat we wrza-wie wojennej wzrosli, odbyli niezliczoną ilość wypraw, pochodów, oblężeń i bitew. Hodowała ich wojna, bo ho-dowała ona wówczas w Rzeczypospolitej całe pokolenia, a prowadziła do boju w pierwszym rzędzie wielką miłość ojczyzny, a obok tego i chęć pomśzczenia własnych krzywd; albowiem w ciągłych z pogaństwem walkach, na tej krwawą przesiąkniętej ziemi, niemal każdy jakieś kochane głowy utracił, jakichś strasznych nieszczęść nosił w sobie wspomnienie.

Na czele tych wojsk sam hetman stał, jako słońce, i wolą swoją tymi tłumami kierował.

Dnia 9-go listopada 1674 roku poczęła się wypra-wa od harców, które trwały do południa, ale że dzień, jako w jesieni, był krótki, więc należało się spieszyć. Naraz huknęły wszystkie bębny, kotły, krzywały. Kil-kanaście tysięcy gardzieli zawrzało jednym głosem i pie-choty, wspomagane przez następującą tuż lekką jazdę, ruszyły gęstym tłumem do ataku.

Najstraszliwsza walka zawrzała przy głównej bra-mie, gdzie Mazurowie zwarli się z gwardyą Husseina baszy. Głównie jemu o tę bramę chodziło, albowiem przez nią mogła się wlać do obozu jazda polska, dlatego postanowił bronić jej najuporczywiej i ustawicznie pchał ku niej oddziały janczarów. Piechoty, opanowawszy zra-zu bramę, wyteęwały następnie wszystkie siły, by się

przy niej utrzymać. Spędzały ich działa i grad kul ze strzelby ręcznej, a do tego z kłębów dymu wychylały się coraz to nowe watahy wojowników, biegnące do ata-ku. Bito się tam na wszelką broń: na szable, noże, kol-by od muszkietów, na łopaty, drągi, ośniki; wreszcie chwytali się ludzie wół i walczyli na pięści i zęby. Hussein dwakroć próbował złamać za pomocą jazdy pie-chotę, lecz dwakroć musiała się ona cofać w nieładzie.

I w innych miejscach, przy innych bramach z ta-kiemże męstwem walczyła piechota.

Ze wschodniej strony obozu przybiegł do pana he-tmana ordynans i krzyknął zdyszana pierśią:

— Pan wojewoda bełski w wałach!

Po nim drugi:

— Panowie hetmani litewscy w wałach!

Po nich nadbiegli inni, ciągle z tą samą wieścią. Mrok już robił się na świecie, ale od twarzy hetmana biło światło. Zwrócił się do stojących i rzekł:

— Teraz na jazdę kolej, ale to się dopiero jutro stanie.

Nikt jednak i w polskim wojsku i w tureckim nie wiedział i nie przypuszczał, że hetman ogólny atak wszystkich sił zamierza do następnego rana odłożyć. Owszem, oficerowie ordynansowi skoczyli do rotmistrzów z poleceniem, by każdej chwili byli gotowi. Piechota stała w zwartych szeregach, czekając rozkazu, lecz roz-kaz nie przychodził.

Tymczasem upływały godziny. Noc stała się czarna, jak kir. Już w czasie dnia rozpoczęła się ślota, o półno-cku zaś zerwał się wicher z lodowym deszczem i śnie-giem. Uderzenia jego mroziły szpik w kościach; konie ledwie mogły ustać na miejscu, ludzie drętwieli. W usta-

wiecznem oczekiwaniu hasła, nie można było myśleć o jedzeniu, piciu, lub rozpaleniu ogniska. Z każdą godziną czas stawał się straszniejszy. Była to paniętna noc, „noc męki i szczękania zębami.“ Głosy rotmistrzów: „Stać! stać!“—odzywały się co chwila i przyuczony do karności żołnierz stał w największej gotowości, bez ruchu, ale cierpliwie.

Naprzeciw zaś, w dżdżu, wicherze i pomroce stały w tej samej gotowości skostniałe pułki tureckie.

Wytrzymały żołnierz polski, przywykły do srogości zimy, mógł taką noc przetrzymać, ale ci ludzie, wyhodowani w ciepłym klimacie południowych krain, cierpieli więcej, niż siły ich znieść mogły. Husseinowi stało się naraz jasnym, dlaczego Sobieski nie poczyna ataku: oto ten złodowaciały deszcz był najlepszym polskim sprzymierzeńcem. Rzecz była widoczna, iż jeśli janczarowie postoją tak dwanaście godzin, to nazajutrz będą się kładli, jak snopy—a przecież stać musieli!

Dopiero świtaniem pan Sobieski pojawił się w walach. Zorzy nie było tego dnia na niebie, ale zorza była w jego twarzy, bo pewnym był zwycięstwa. Więc jeździł od pułku do pułku i zagrzewał żołnierzy do boju. „Za kościoły pohańbione! za bluźnierstwa Najświętszej Pannie w Kamieńcu! za krzywdy chrześcijaństwa i Rzeczypospolitej! za Kamieniec!“—wołał. Żołnierze zaś spoglądali po sobie, szablami szczękali, jakby mówili: „Jeno puść, wielki hetmanie, a obaczysz.“

Każdy dowódca regimentu w piechocie, każdy rotmistrz, miał już rozkazy i wiedział, co mu czynić należy. Artylerya polska poczęła odzywać się coraz potężniej, wywołując ze strony tureckiej również potężne odpowiedzi. Wtem zagrzmiała muszkietowa palba, okrzyk ogromny rozległ się po całym obozie — atak był rozpoczęty.

Mgliste powietrze przesłaniało widok, ale odgłosy walki dochodziły do miejsca, w którym stała hussarya. Słyszał było szcęk broni, krzyki ludzkie. Pan hetman, który aż dotąd przy hussaryi pozostał, wspiąwszy konia, ruszył, jak błyskawica, na czele kilkudziesięciu przybocznych ludzi ku bitwie. Hussarya ostała, czekając tylko na znak, by skoczyć i losy walki rozstrzygnąć.

Czekali tak dość długo, a tymczasem w głębi obozu wrzało i huczało coraz straszliwiej.

Po godzinie może dopiero przybiegł, na czele swoich ludzi, pan hetman wielki. Z oczu strzelał mu płomień. Osadził konia na miejscu i krzyknął:

— W nich teraz, z pomocą Bożą!

Ze straszliwym szumem pochylił się w jednej chwili las włóczni ku łbom końskim i piętnaście chorągwi tej jazdy, która zwykła łamać wszystko po drodze, ruszyło, naksztalt olbrzymiej chmury, naprzód.

Chwila jeszcze, a straszne okrzyki „Allah!.. Jezus Maryal!“ jakby nie z ludzkich pierśi wyszły, zmieszały się ze sobą. Żywy mur skłębił się, suchy trzask łamanych kopii zgłuszył wszystkie inne odgłosy. Pierwsze, drugie, trzecie i dziesiąte szeregi janczarów leżą mostem obalone, stratowane kopytami, pobodzone włóczniami, pocięte mieczem. Nie upłynęła jeszcze godzina, a jazda polska już była w namiotach, pan Sobieski tryumfował. Trąby i krzywuły głosiły chrapliwymi głosami zwycięstwo.

Wódz całej armii tureckiej, Hussein basza, ocalił się na szybkim koniu ucieczką. Ze świetnej armii małe tylko watahy zdołały wynieść zdrowe głowy z pogromu. Z janczarów nie ocalił się prawie nikt. Polskie wojska wpadły w tak wielki zapał bojowy, że nie odsapnąwszy

jeszcze dobrze po bitwie, Chocim zdobyły. W samym obozie łupy wzięto niezmierne. Sto dwadzieścia dział, a z niemi trzysta chorągwi i znaków, przesłał hetman wielki z owego pola, na którym po raz już drugi w ciągu wieku szabla polska święciła tryumf znamienity.

Sam pan Sobieski stanął w kapiącym od złota namiocie Husseina baszy i z niego wieści o szczęśliwym zwycięstwie na wszystkie strony przez lotnych gońców rozsyłał. Zaczem zebrały się jazda i piechota, wszystkie chorągwie polskie, litewskie i kozackie, całe wojsko stanęło w bojowej sprawie. Odprawiono dziękczynne nabożeństwo—i na tym samym majdanie, na którym wczoraj jeszcze Turcy swego Boga o zagładę Chrześcijaństwa błagali, brzmiała pieśń: „Te Deum laudamus.“

Hetman słuchał mszy i pieśni, krzyżem leżąc, a gdy powstał, łzy radości płynęły mu po twarzy.

Na ów widok piersi rycerstwa wezbrały szczęściem i z tysięcy gardzieli wydarł się okrzyk:

— Vivat Jan Sobieski zwycięzca!!!

A w dziesięć lat później, gdy tenże Sobieski, jako król Jan III-ci, obalił w proch potęgę turecką pod Wiedniem, okrzyk ten powtarzano od mórz do mórz, od gór do gór, wszędy po świecie, gdzie tylko dzwony wołały wiernych na modlitwę...

